

№ 36—766.

Redakcja: Chmielna № 26.

Warszawa, 5 września 1890 r.

24 sierpnia. TOM XXX.

## Z WARSZAWY

Powrotna fala.—Do szkoły.—Popłoch letników.—Skazani na dłuższy pobyt na obczyźnie.—Kuracjusze miejscowi.—Sezon przedłużony.—Niedogodności spaceru po Saskim ogrodzie.—Polewanie u nas.—O paru moich znajomych.—Konkurs piękności w Warszawie.—Jaki on będzie i czy się uda.—Dobroczyncy ludzkości i lombardy warszawskie.—Przytulki dla inwalidów fabrycznych.—Smutna wieść z Afryki.

Doczekaliśmy się wreszcie naszej „fali powrotnej”; nasi „nieobecni” poczynają się zjawiać, a naprzód ci, których troska o pomieszczenie dzieci w szkołach przygania; lekcy zresztą rozpoczynają się mniej więcej w ciągu tygodnia, więc i ta młodzież, która ma miejsca zapewnione, musi się stawiać do apelu.

Kilka ostatnich dni chłodnych acz pogodnych nastraszło naszych podmiejskich „letników”, i albo ściągnęli już do Warszawy, albo są na wylocie. Dziwni ci ludzie! Przed ty-

godniem jeszcze ledwie nie płakali na upały, a teraz, gdy się ochłodziło, nuż w lamenty i popłoch...

Wielu, bardzo wielu z pomiędzy nich gra tylko komedya; przyjemności wilegiatury tak im się dały we znaki, że oburącz chwytają pierwszą lepszą okazyą do wyrwania się z jój rozkosznych objęć i powrotu do ukochanej Warszawki, z której tak skwapliwie wyrwali się na wiosnę, ale do której teraz już na dobre się stęsknili.

Chłody dały się uczuć i po miejscach kąpielowych i stacyach klimatycznych; z Zakopanego naprzykład, w którym tylu warszawiaków porę letnią spędziło, zimna codziennie setki gości wypędzają. Zdala od domu pozostają tylko ci jeszcze, którzy skazani są na kończenie trzecio-sezonowej kuracji, i ci, których losy albo wola poparta możliwością w dalsze strony i pod cieplejsze nieba zanosły.

Bądź co bądź, Warszawa się ożywia; mrowie studenckie zalega ulice, napełniając i ożywiając je wesołym gwarem, od którego przez tak długi czas echa miejskie odwykły.



CZEŚĆ NADRZECZNA MIASTA MIĘDZYRZECZA, W GUB. SIEDLECKIÉJ.

Wracamy jednym słowem do normalnych warunków bytu naszego, dziwiąc się, że „martwa pora”, przy której początku zdało nam się, że końca jój trudno będzie doczekać, tak prędko minęła; wydaje nam się to tém dziwniejszém, że sezon picia wód, dla miejscowych kuracuszów, dotąd się jeszcze nie skończył, właściciele bowiem zakładów wód mineralnych, korzystając z pięknego lata, wyjątkowo go tego roku przedłużyli.

Ogród tedy Saski co rana zaludnia się jeszcze dość licznie téj kategorii spacerowiczami, dla których przymusowej ruchliwości właściwy ogródek wód mineralnych za szczupłą przedstawia arenę. Niestety! i na téj obszerniejszej napotykają nieboracy szczególnego rodzaju przeszkodę: oto właśnie w chwili gdy oni w najlepsze zaczynają się ruszać, zaczyna się również w najlepsze—polewanie ogrodu. Zdaje się, że polewający muszą także pić wody mineralne i właśnie o tym czasie czuć największą potrzebę agitacji; w przeciwnym bowiem razie możeby uwzględniono położenie kuracuszów niepolewających i wstrzymano się jakie pół godziny a choćby i godzinę całą z zamianowaniem chwilowém ich spacerowego toru na jedną wielką kałużę.

Już to my wogóle nie mamy szczęścia do kropienia, czy to wirydarzy naszych, czy ulic i placów. Zdawałoby się na przykład, że według doświadczonej od dawna i w wielu okolicach z pomyslnym skutkiem praktykowanej metody, ulice należałoby naprzód skropić, a potem dopiero zamiatać; tymczasem u nas przeciwnie: zamiatanie odbywa się samoistnie, na sucho, a dopiero gdy przechodnie przedewszystkiém a wszyscy mieszkańcy miasta wogólności połkną już sumiennie gęste i olbrzymie tumany kurzu, wznoszące się pod miotłami gorliwych wykonawców przepisów porządku publicznego, rozpoczyna się kropienie, które nietylko na ulicach ale i na zakurzonej poprzednio odzieży publiczności, dla której dobra wszystko się to dzieje, pozostawia ślady, świadczące o niezaprzechonéj hojności w obdzielaniu nas produktem nowych wodociągów.

Zdawałoby się znowu, iż nic łatwiejszego, jak zmienić porządek i kazać pokropić ulice przed zamiataniem; tymczasem nieprawda; rzecz to łatwa napozór tylko. Są istoty, organizmy zarówno pojedyncze jak zbiorowe, które pewnych funkcij nie są w stanie nigdy odbyć w porę; znałem naprzykład takiego, który zawsze przychodził na obiad, kiedy właśnie czarną kawę i *chasse-café* wypito; i drugiego znów, który regularnie oświadczał się w półgodziny po przyjęciu przez pannę czyjśj innej deklaracji. Ja sam... ale uszanujmy osobiste tajemnice.

Zresztą pocieszajmy się, że wszelkie niedogodności i utrapienia miejskiego naszego żywota wynagrodzi nam mający się urządzić u nas—konkurs piękności. Gdyż mimo wszystkiego co zacofani moralizatorowie na ten temat nagadali i napisali, mimo wrodzonego kobietom naszym poczucia godności, niepozwalającego im na wystawianie na widok publiczny swoich zalet i wdzięków, będziemy podobno mieli „wystawę piękności”. Dodać jednak zaraz muszę, że inicjatorowie téj wystawy, obdarzeni godną zaprawdę lepszej sprawy wytrwalością, zmuszeni zostali do pewnego na rzecz naszych przesądów i wstecznych pojęć ustępowania: oto wystawa odbędzie się, ale nie oryginałów tylko wizerunków piękności, czyli będzie to prosto wystawa fotografii pięknych warszawianek, która stanowi ma osobny dział na zamierzonej wystawie fotograficznej. Wątpię nawet, żeby konkurs ten powiódł się bardzo i w takimże przeinaczeniu; panie nasze, po wzięciu pewnej ilości odbitek swego wizerunku, każą zwykle fotografowi zniszczyć kliszę, a przynajmniej zapowiadają surowo, żeby nikomu, broń Boże, odbitek nie sprzedawał. Sama myśl ujrzenia podobizny swojej w rękach obcych jest im nieznośną, a cóż mówić o jój wystawieniu na widok publiczny; zdaje się zatem, że pomiędzy naszymi „pięknymi” bardzo mało będzie takich, jeżeli wogóle będą takie, które na umieszczenie swój fotografii w owym dziale „piękności” pozwolą.

Lepszy koncept mieli i pewniejsze z niego niż twórcy „wystawy piękności” ciągną zyski ci, co pozakładali u nas lombardy prywatne. Tych pożytecznych, o mało że nie filantropijnych instytucij jest u nas taka moc, że siły komisji zamianowanej do ich kontrolowania nie są w stanie podolać zada-

niu, że więc całe miasto ma być podzielone na rewiry lombardowe, i w każdym rewirze ma być wyznaczona osobna komisja rewizyjna. Zdawałoby się zatem, że u nas biedak znajduje kredyt z największą łatwością, znajduje go gdzie się tylko obróci, nie potrzebując się daleko do lombardu fatygować. Zdawałoby się powtóre, że miasto nasze zamieszkałe jest przeważnie przez dobroczyńców ludzkości, którzy gwałtem pragnąc przyjść jój z pomocą, zakładają lombardy na lombardach... Szkoda, że ta miłość ludzkości, obojętna zblizka, trochę inaczej wygląda; szkoda, że przychodzący do lombardu biedak, na fant swój, naturalnie nieświatny, bardzo małą, nawet stosunkowo, uzyska pożyczkę; że od pożyczki takiej zapłaci procent nie bardzo niski, ale zawsze jeszcze znośny, wynoszący mniej więcej 10% na miesiąc, ale że za to za przechowanie swego lichego fantu opłacać będzie 7%, czyli razem 8% miesięcznie, co stanowi rocznie 96 od 100, to jest, że gdy fant rok poleży, procentami zje zupełnie swoją wartość.

Takimi to są te „instytucje kredytowe” dla najbiedniejszych, dowodzące jeszcze raz téj okropnej prawdy ekonomiczno-społecznej, że im kto uboższy, tém drożej za wszystko płacić musi. Gdyby to jedno zło z naszych stosunków społecznych usunąć się dało, może w rozwiązaniu kwestyi społecznej posunęlibyśmy się choć na pół drogi, jeśli nie rozwiązalibyśmy jój zupełnie.

Tymczasem lombardy prywatne u nas mnożą się i wystają coraz nowe, niby grzyby po deszczu a nazwiska ich założycieli w dziewięciu dziesiątych częściach zdradzają pochodzenie semickie. Jedno i drugie wskazuje, jak korzystnymi muszą być te zakłady—dla właścicieli swoich naturalnie...

Wobec téj nierozwiązanej dotąd zagadki taniego kredytu dla najuboższych, tém życzliwiej witać należy projekta takie, jak podniesiony przez jednego z przemysłowców tutejszych projekt założenia przytułku dla inwalidów fabrycznych, dla ludzi, którzy przy pracy ponieśli kalectwo, albo wyczerpawszy swoje siły stali się niezdolnymi zarabiać dalej na chleb powszedni. Zapewnienie losu tym weteranom ciężkiego zarobku staje się dziś coraz bardziej przedmiotem troskliwości wszystkich rządów i społeczeństw, jako także jeden z najskuteczniejszych środków zażegnania téj kwestyi, która niby zmore ciąży na naszym dzisiejszym układzie społecznym.

Mamy już taki przytułek dla inwalidów kolejowych, który ma posłużyć za wzór do organizacii przytułku o którymś mowa. Fundusz na utrzymanie zakładu powstać ma z odsetków, jakie każda fabryka, licząca więcej niż dziesięciu robotników, płacić ma w stosunku do swojego rocznego obrotu. Projekt ten ma być wniesiony niebawem na odnośnym wydziale Towarzystwa popierania handlu i przemysłu, i nie można wątpić, że w krótkim, jaknajkrótszym czasie oblecze się w ciało.

Jeden z mieszkańców tutejszych odebrał w tych dniach smutną wiadomość o śmierci swojego syna. Cóż w tém dziwnego?... Tyłu synów umiera; tyłu ojców oplakuje ich zgon przedwczesny. Tak, tylko że tym razem wiadomość nadeszła z Afryki a ów syn umarł jako misionarz w Kongo...

Bodaj czy nie jedyna to a przynajmniej czy nie największa dla ludzkości korzyść z tych świeżych podbojów afrykańskich obszarów przez cywilizacją europejską, że one otwarły nowe pole do czynów poświęcenia i chrześcijańskiego zaparcia się siebie. Alboż nie budującym jest, wśród naszej zmateryalizowanej epoki, widok młodego człowieka, wykształconego, pełnego sił i nadziei, wyrzekającego się ziemi ojczystej, związków rodzinnych, widoków na przyszłość, aby nieść światło wiary i cywilizacji chrześcijańskiej w pośród dzikich ludów, które świeżo dopiero wynurzyły z pomroki jaka je przez tyle wieków przed oczyma naszymi skrywała?...

Cześć pamięci i spokój duszy tego rycerza Chrystusowej miłości!

Sp.

# WŚRÓD KAKOLU.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Walerya Marrene.

(Dalszy ciąg.)

Tymczasem posypała się cała rzesza robotnicza z fabryki Pifkego. Zrazu szli wszyscy razem, potem dzielić się zaczęli na gromadki, gromadki na pary.

W cieniu parkanu przesuwają się dwie postacie, kobiety i mężczyzny. Ona szła naprzód, szybkim krokiem, jakby chciała uciec od swego towarzysza; on mówił łamaną polszczyzną:

— Ej! Karolowa, wy obaczyć, jak wy mnie nie chciała słuchać ja dam fajer (\*) i co będzie?

Kobieta odwróciła głowę.

— Ja pójdę do zarządcy, do samego pana. Powiem wszystko, powiem, że mi nie dajecie spokoju od chwili jak mąż zachorował. Powiem, że chcecie zmusić mnie do przysięgi, że waszą żoną zostanę, że dybiecie na życie mojego, któremu jeszcze Bóg da zdrowie.

— A jak powiedzieć, wy nawet mówić po naszymu nie umiecie. A ja powiem, co wy robić bałamuctwa; komu będzie wiara—mnie czy wam?

— Puście mnie panie majster—prosiła kobieta—wiecie że mój chory, ja wdową nie będę. Dziecko czeka głodne, puście mnie!

— No, ja nie trzymała, ja mogę wcale puścić z fabryka—odparł z groźbą.—Ja mogę wam dać fajer, czy to mało ludzi prosi się o robotę.

Wiedziała, że gotów to zrobić, załamała więc ręce i zatrzymała się jak wryta. On spostrzegł że się wacha i chciał zaraz wstąpić na poczęstunek do Rubinki, jakby na litkup po dobitym targu.

— Niel niel—błagała kobieta.

— *Dummes Kerl*—mruknął majster.

Jój przez myśl przebiegło przyrzeczenie, że jeśli wdową zostanie, nie pogardzi oświadczeniami majstra, ale zlekła się bluźnierstwa i uciekła.

Pomknęła jak strzała, mijając szybko współtowarzyszy pracy.

— Patrzcie—mówiły za nią idące robotnice—Gruszkowa ucieka przed Hafnerem.

— Nie ucieknie mu ona—odparła druga potrząsając głową—niechno tylko jój zamrze.

Do Rubinki wstępowało wielu na kieliszek wódki. Pili ją starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, i dzieci nawet. Sypały się cyniczne słowa, bezecne żarty.

Dziewczeta, nie wyrosłe jeszcze z dzieciństwa, przechadzały się po dwie, po trzy razem, zapominając na chwilę o znużeniu.

Tymczasem noc zupełnie zapadła i wielkie mrowisko ludzkie, zwolnione od przymusowej pracy, zawrzało tajemnym życiem żądź i zbrodni. Rzecz by można, iż budziła się w organizmach potrzeba odwetu za całodzienne przykucie do warstatów.

Wyczerpanie fabryczne objawiało się u niektórych jakimś podnieceniem, jakąś niezdrową fantazyją, u innych drażliwością nadmierną. Złe higieniczne warunki nie miały jeszcze czasu wypiętnować się na kilku pokoleniach, nie zkarłowaciły rasy, nie nadwątliły organizmów, więc spotkać było można prawidłowo rozwinięte postacie i muskularne ramiona, dla których wiązanie nitki było tak stosowne, jak wtzeciono Omfalii dla Herkulesa.

To też pod zasłoną nocy, gdy miasto układało się do snu, czuwali nie tylko ci, którzy w dzień mieli robotę, ale i ci, którzy byli pozbawieni zarobku, jutrzejsze pożywienie zdobyć musieli nielegalną drogą; ci ostatni, jeśli nie jedli dzisiaj, nabierali dzikości drapieżnego zwierza.

Pod cieniem parkanów i drzew, w zaułkach do których nie dochodziło światło rzadkich latarni, snuły się podejrzone postacie, przed którymi zdawali kroku zapóźnieni przechodnie.

Łódź bawić się nie lubi, nocne życie bogatych mieszkańców miast wielkich jest tu prawie nieznanne; jednakże około północy dorożka pędząca po nierównym bruku, zatrzymała się przed jednym z wejść do pałacu Pifków. Wysiadł z niej wysoki mężczyzna, dobył klucza i otworzył drzwi wchodowe, a gdy się obrócił płacąc dorożkarzowi, księżyc oświecił twarz jego. Był to sam właściciel fabryki. Skoro posługiwał się dorożką, choć miał kilka pięknych powozów, skoro sam zadawał sobie pracę otwierania drzwi, zamiast dzwonięcia na służbę, widocznie nie chciał by wszyscy z domu wtajemniczeni byli w jego nocną wycieczkę.

Wielkie fabryki zwykły dla swoich robotników stawiać domy mieszkalne.

Tak się dzieje w ogniskach przemysłowych Francji, Niemiec, Anglii, na które Łódź ma oczy zwrócone.

Filantropia idzie tu w parze z interesem. Robotnik mając tanie i blizkie fabryki mieszkanie, jest pilniejszy, bardziej dbały o miejsce, nie opuści go nawet w chwili nawału roboty. Przywiązuje się do swego kąta, stara się go przyozdobić.

Jedno z takich mieszkań robotniczych Pifkego zajmował Karol Gruszka; był to robotnik zdolny i pracowity, jemu powierzano najtrudniejsze roboty, zarabiał dziesięć rubli tygodniowo, a żona nie ustępowała mu w pracy i zarobku. Pobrali się przed kilkunastu miesiącami, ona była najpiękniejszą dziewczyną w fabryce, a on był tak zazdrosny, iż odzywał się głośno, że pchnie nożem każdego ktoby ją zaczepił.

Pracowali w jednej sali. Karolowa kochała męża i drżała przed jego popędliwością, więc oczów nie podnosiła od swego warstatu. Różnie tam żartowano sobie z nią gdy jeszcze nie była mężatką, ale od dnia ślubu nie dała sobie marnego słówka powiedzieć.

Zyli tak przykładnie przez półtora roku i może żyliby tak bardzo długo, gdyby nie to, że Gruszkę spotkał przypadek, który przybiera nieraz rozmiary wielkiego nieszczęścia. Upadł, zwichnął nogę i musiał parę tygodni przeleżeć.

Gryzło go to, bo nie mógł zarabiać, a gryzło więcej jeszcze, że żona sama chodziła do fabryki. Mówił jój nieraz z roziskrzonymi oczyma.

— Pamiętaj sobie Maryś!...

Nie kończył, ale ona rozumiała dobrze, co to miało znaczyć, i miała się na bacności.

Gdy nadchodziła godzina powrotu żony z fabryki, Gruszka był jak szalony i ciągle zdawało mu się, że się umyślnie spóźniła.

Był już zdrowszy i doktor obiecywał, że za parę tygodni będzie mógł pracować, byle się przez ten czas spokojnie zachowywał.

Ale jak on mógł być spokojnym? Leżąc na łożku, kłął i spoglądał na wiszący zegar, którego wskazówki posunęły się na pięć minut po ósmój.

Pokój, czysto wybielony, oświecała lampka naftowa, stojąca na okrągłym stole przed kanapą, i ognisko kuchenne, przy którym gotowała się wieczerza. Przy tém świetle widać było białe firanki w oknach, a na nich odcinały się zębate liście i czerwone kwiaty geranium, potworne lodygi kaktusa i t. p. niewymyślne rośliny, które rozweselały mieszkanie. Na ścianach, a osobliwie nad łożkami, zawieszono były obrazy Najświętszej Panny Częstochowskiej i Świętych.

Łóżek wysoko zasłanych pościelą było dwa, jedno należało do Gruszków, drugie do matki Gruszkowej, która zajmowała się porządkiem domowym, gotowaniem i hodowaniem wnuczki ośmio-miesięcznej, Karolki. Nosiła ją do matki, która ją karmiła w czasie śniadania i podwieczorku, kołysała piastowała, poiła.

(\*) Tak nazywają w fabrykach wydalenie.

Teraz, trzymając ją na ręku, doglądała wiecerzy złożonej z kartofli i mleka, gdy drzwi otworzyły się szybko i do pokoju wpadła Gruszkowa.

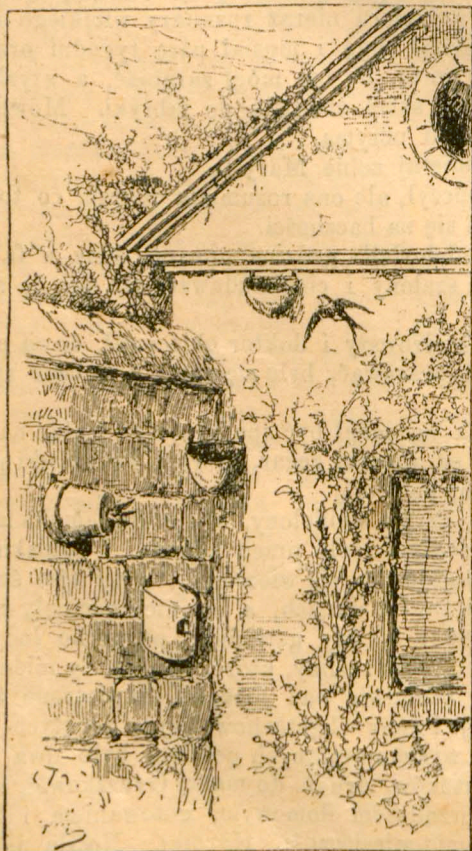
Gruszkowa obejrzała się niespokojnie, jak gdyby upewnić się chciała, że nikt za nią nie goni, i zmęczona siadła na krześle, stojącym najbliżej drzwi. Teraz dopiero można było ocenić całą jej urodę. Pleć miała nieco bladawą, jak zwykle bywa u tych, którzy zamiast na świeżym powietrzu żyją w zamkniętych murach, ale usta były wiśniowe a zęby białe. Ciemne włosy, delikatne rysy i oczy czarne, nadawały całej postaci wdzięk prosty, niewyszukany.

Gruszka, widząc żonę wchodzącą, odetchnął głęboko, jak gdyby mu ciężar spadł z piersi.

W fabryce Gruszkowie uchodzili słusznie za najpiękniejszą parę. On mógł służyć za dorodny typ polskiego chłopca, o jasnych włosach i oczach niebieskich; rysy jego twarzy regularne, jak je często spotykamy w wiejskich chatach, miały wyraz otwarty i rozumny. Ojciec jego był woźnicą, ze dworu dostał się do jednego z fabrykantów, a syn już nie zaznał ciężkiej pracy rolnej. Muskuly jego wydelikatniały ale nie straciły jeszcze swój sprężystości, jak to się często dzieje w dalszych pokoleniach robotników fabrycznych, zwłaszcza zbyt wczesnie wprzęgniętych do pracy. Nie zanikły też w nim właściwości rasowe. Biedy dotąd nie zaznał, przeciwnie, działało mu się dobrze, konieczność żadna nie złamała ani ugięła jego butnej natury. Lubił zabawę, kieliszkiem w niedzielę nie pogardził, a jak się rozgniewał to już bił i o nic nie pytał, bo był popędliwy z natury, i ręka jego uderzała prędzej niżeli nad tém pomyślał.

Za to gdy go złość ominęła był miękki jak wosk. Teraz tylko z powodu przymusowej beczynności, bólu w nodze i zardości, stał się zgryźliwym i przykrym.

Gruszkowa siedziała przez chwilę milcząca, z głową spuszczoną. Karolka spostrzegłszy matkę wyciągnęła do niej tłuste rączki i wrywała się z objęciami babki, a ponieważ matka nie zgadła czego córka chciała, uderzyła dziecina w krzyk wielki. Wówczas dopiero kobieta zerwała się, jakby ze snu zbudzona, pochwyciła maleńką, położyła na ręku, rozpięła suknię i karmić swego aniołka zaczęła. Dziecię jak pijawka przypięło się do matki, i przez chwilę było słycać tylko jego mruczenie radosne i głośne lykanie.



Sztuczne gniazda.

Zachowanie się Gruszkowej było dziwne. Zwykle zaraz z progu chwyciła Karolkę, nazywając ją swoim złotkiem, skarbem, krociami, potem siadała przy łóżku męża, ażeby dziecko nakarmić i zarazem opowiadała drobne wypadki fabryczne. Dzisiaj milczała uparcie. Światło lampy padało na jej postać, na tłustą Karolkę, ale twarz młodej matki umyślnie czy przypadkiem ukrytą była w cieniu.

Gruszka poczuł znów w sobie szalony niepokój. Niepewnym krokiem zawlókł się ku żonie, ażeby zajrzeć jej w oczy z nienacka, i zobaczył, że płakała.

— Maryanna!—wrzasnął, aż dziecko przestraszone pierś puściło—co ci się stało, czego płaczesz?

Nie odpowiedziała nic ale i od płaczu powstrzymać się nie mogła; wybuchnęła nawet łkaniem.

Gruszka pobladł.

— Kto cię skrzywdził! mów!—pytał przez zaciśnięte zęby.

Zrozumiała teraz jak postąpiła nierozsądnie, pokazując swoje zmartwienie, wiedziała przecie jak mąż był prędki i zazdrosny—należało wszystko przed nim zataić.

— Ej... to nic...—próbowała odpowiedzieć i ocierała szybko oczy.

Ale choć łzy przestały płynąć po twarzy, pozostał na niej ślad troski ciężkiej.

— Jakto nic?—badał dalej—nie płaczesz przecie bez przyczyny?

Milczała i dla odwrócenia uwagi podniosła na ręku Karolkę ku jego twarzy i ustom.

On odsunął dziecko.

— Maryanna!—krzyknął—powiedz mi wszystko.

Zerwała się z miejsca rozgniewana na siebie, czy też rozżalona na męża.

— Atl—odparła—niema o czém gadać. Dajcie matko wiecezrę, bom głodna.

— Niema o czém gadać! — powtórzył z zaiskrzonymi oczami—a ja ci mówię, że musisz powiedzieć!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## SZTUCZNE GNIAZDA.

Skrzydłata rzesza ptasząt to jeden z największych uroków lasu i ogrodu; wnoszą one za sobą nietylko gwar, życie i wesele, ale są zarazem zaciętymi wrogami szkodliwych owadów i pasożytów, chronią od nich nasze pola, bory i sady. Ze względu na wszystkie te przyjemności i korzyści, każdy radby posiadać w pobliżu swego domu jaknajwiększą ilość ptasząt i tylko w wyjątkowych razach, okrutna lub nieświadoma ręka tępi i przesładuje te śliczne a tak pożyteczne stworzenia.

Niektóre ptaki, jak zięba, szczygieł, piegża, słowik i t. d. budują gniazda bardzo proste wśród zarośli, gałęzi albo nawet na ziemi wśród murawy. Jeżeli nie będzie się ich straszyc i płoszyć, co rok będą powracały w te same miejsca, w zwiększonej tylko liczbie. Ptak ma doskonałą pamięć i zdaje sobie sprawę nietylko z warunków miejscowych, ale i z usposobienia mniej lub więcej przychylnego, jakie mają dla niego ludzie. Za dowód niech staną ptaki w wielkich miastach, tak śmiałe i oswojone, dzięki względom i ochronie jakich doznają.

Nieraz się słyca o dziwnej pamięci i wiernym przywiązaniu jaskółek, które rok rocznie z dalekiej w cieplejsze strefy wędrówki w jedne i te same miejsca wracają, bez względu na to czy przytułiła ich gościnnie uboga strzecha wieśniacza, czy gzyms bogatego pałacu. Przekonano się o tém, przywiązując kawałek kolorowej wstążki do nóżki odlatującej jaskółki. Tak samo i bociany udają się prosto tam, gdzie zeszłego roku usłały sobie gniazdo.

Dobre przyjęcie i opieka jakiej ptaki doznają, ściągają w to miejsce znaczniejszą ich ilość; nie ulega bowiem wątpli-

wości, że mają one sposób porozumiewania się z sobą i jedne drugie zachęcają do osiedlania się w okolicach, gdzie nie targnie się na nie żadna dłoń okrutna.

Jedne ptaki poprzestają na budowaniu gniazd w miejscach odkrytych, na drzewach lub na ziemi; inne szukają bezpieczniejszego dla przyszłej rodziny schronienia i w tym celu obierają sobie siedlisko w rozpadlinach murów, w dziuplach drzew lub pod ochroną gzymsów. Do nich należą szpaki, drozdy, sroki, dudki, wrony, sikory, pełzacze, pliszki, mysikróliki, jaskółki, wszystkie ptaki nocne, względem których niesłuszne mamy uprzedzenia, i wiele innych gatunków.

Otóż w parkach i ogrodach dobrze utrzymanych ścinają drzewa spróchniałe, a w porządnym domu niema dziur w murze, któreby służyły za schronienie dla tych ptaków. Czyżby z tej przyczyny ludzie mieli się pozabawiać milego ich świergotu i pożytecznej działalności? O nie, należy tylko zapewnić im sztucznie właściwe na gniazdo miejsce a mądre te stworzenia z pewnością nie wzgardzą ludzką pomocą.

Nie jest to ani rzeczą tak nową, ani tak trudną. Lud nasz oddawna dopomaga w ten sposób wiernym swoim towarzyszom, bocianom, i przezornie ułatwia im budowanie gniazd, umieszczając bronę na wierzchu strzechy lub na szczycie drzewa. Otóż przysługę jaką wyświadczą się bocianom, możnaby oddać i innym skrzydlatym przybyszom, starając się przedtem o zbadanie ich upodobań i zwyczajów. Gdziekolwiek tego środka próbowano, wszędzie ścigała ochotna rzesza wdzięcznych śpiewaków naszych, biorąc się gorliwie do niszczenia szkodliwych owadów.

W Grunkeim, w Saksonii, pojawiły się w lasach wołki, które tak znaczne sprawiły spustoszenia, że trzeba było pomyśleć o środkach pozbycia się tej plagi. Wydano w tym celu cztery tysiące marek, ale wszystko było napróżno. Wtedy inspektorowi przyszło na myśl zwabić do borów szpaki; umieszczono wśród drzew setkę sztucznych gniazd, w których chętnie osiedliły się ptaszęta i niezadługo wołki zostały wytepiene.

Oto wzór na sztuczne gniazdo, podany przez jednego ze znanych ornitologów. Przedewszystkiemu otacza się drzewo cierniami, ażeby przyszłych lokatorów zabezpieczyć od napaści kotów; potem bierze się dość gruby kawałek drzewa, ścina go się ukośnie z obu stron, wierci się w nim dziurę i od dołu zatyka czopem. Następnie z boku świdruje się otwór i w ten sposób przygotowane gniazdo zawieszają na grubej gałęzi za pomocą mocnego drutu, osłoniwszy je korą lub mchem, ażeby się nie odróżniało wśród liści. Dobrze jest także sadzić między drzewami krzaki porzeczki lub agrestu, żeby w ten sposób ułatwić gnieźdzenie się ptaków żywiących się owadami.

Sztucznym gniazdom można także nadawać kształt pudełek, malutkich skrzynek lub solniczek, a nawet domków i budek; robią je również z gliny w postaci cylindrów albo kul, przytwierdzonych drutem do gałęzi. Kto zaś nie chce zadawać sobie tego trudu, niech umieszcza w zagłębieniach muru stare doniczki; ptaki chętnie korzystają z tego, rade, że oszczędzono im mozołu. Warto przyjść z pomocą tym miłym śpiewakom i wiernym towarzyszom naszym, a zachód ten stokrotnie nam się opłaci.

Powiedziawszy o sztucznych gniazdach, powiemy teraz o gniazdach naturalnych. W tym celu powtarzamy wybornie napisany artykuł w „Łowcu” p. t. „Gdzie się ptaki nie gnieźdzą?”

Każdy gatunek ptaków przestrzega w ogóle pewnych stałych prawideł w wyborze miejsca na gniazda i w sposobie ich budowania. Są jednak liczne wyjątki, które dowodzą, że oprócz praw, obowiązujących gatunek, są jeszcze silne, indywidualne, a trudne do wytłumaczenia popędy, które wpływają na wybór miejsca na gniazda. Wybór ten jest częstokroć tak szczególnym, że ptak pozbyć się musi wszelkiej przyrodzonej mu bojaźni i przewyciężyć rozliczne trudności, aby tylko plan swój wykonać, a nieraz wyczytać by się w tém dał chyba ten zamiar, że ptaszyna pragnie siebie i swe pisklęta oddać jak najbardziej pod opiekę człowieka.

Znane są wypadki odbierania gniazd jednym ptakom przez inne. W rabunkach tych przejawia się wszakże tylko panujące w przyrodzie prawo mocniejszego, pociąg do korzystania z cudzej pracy dla własnej wygody. Gdy z wiosną szpaki

powrócą, wybucha zazwyczaj walka pomiędzy nimi a wróblami o gniazda. Wróble, jako słabsza strona, ustępują, lecz za to wywierają swą zemstę na słabszych od siebie jaskółkach, a wyrugowawszy je z pięknie ulepionych gniazdek, same się w nich pieleszą. Wiadomo, jak się znów za to mści jaskółka. Bywały wypadki, że z pomocą innych jaskółek, z niesłychaną szybkością zalepiała otwór do zrabowanego gniazda, skazując tym sposobem bezprawnego przywłaszczyciela i jego rodzinę na śmierć głodową.

To są wyniki walki o byt. Lecz sam dobrowolny wybór stanowisk na gniazda jest czasem tak dziwnym, że zasługuje na szczególniejszą uwagę. W piśmie „Mittheilungen des ornitologischen Vereines in Wien” znajdujemy artykuł, w którym wymieniono szereg takich wypadków.

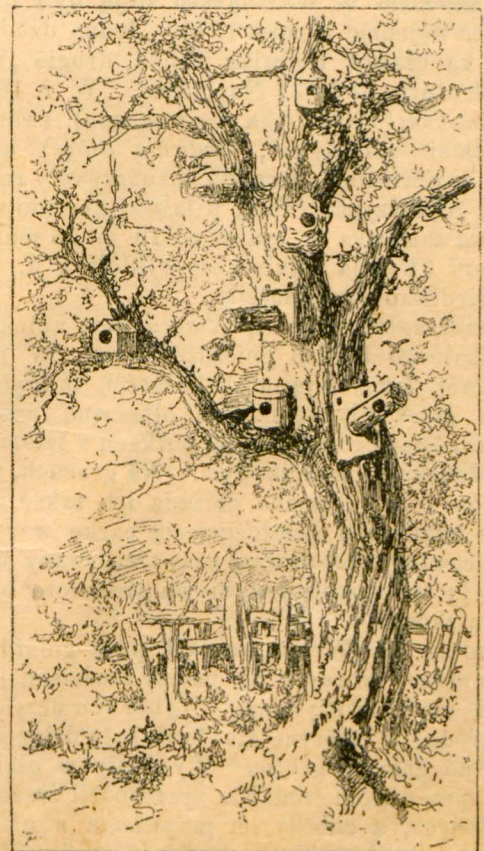
W pewnej miejscowości w Brabancji, obrała sobie jaskółka dymówka (*Hirundo rustica*) miejsce na gniazdo w przedśionku zamkowym, ubranym łowieckimi trofeami, i to ulepiła je na przybitej do ściany głowie kozła, między parostkami. Zostawiono ją tam w spokoju, lecz musiano drzwi już o 5-jej godzinie rano otwierać, ażeby stare mogły wylatywać po żywność dla piskląt. Gdy te już poczęły być lotne, powracały zawsze do przedśionka i ulubionem ich miejscem spoczynku była lampa, wisząca nieopodal gniazda.

W Oberdischingen, w Wirtembergu, obrała sobie para jaskółek oknówek (*Hirundo urbica*) miejsce na gniazdo w jadalnym pokoju wiejskiego dworu, i to również nad lampą, a mianowicie nad kulą przyrządu pociągowego. Ściąganie i podnoszenie lampy, ani światło tejsze, nie odstraszało wcale tych dziwnych bohaterów. Wywiodły młode w swém gniazdku i przez parę lat powracały do niego. Czy nie przyczyniło się do tego ciepło od lampy, przyspieszające lęg?

Gnieźdzenie się jaskółek pod belkami w stajniach i oborach nie należy wcale do rzadkości; toż samo zapuszczają się one z budową gniazd i do izb przez ludzi zamieszkałych, jeśli tylko okna stoją im do wylotu otworem. Ruch życia rodzinnego nie płoszy ich wcale.

Na stacyi Brühl, koło Kolonii, lepią jaskółki już od lat dziesięciu gniazdo w sali poczekalnej III klasy, nie zwracając wcale uwagi na łoskot pociągów i ruch pasażerów.

W Heilbronie gnieźdzą się dymówki od wielu lat w pewnej fabryce kwasu winnego pomiędzy transmisyami, warczą-



Sztuczne gniazda.

cemi kołami i dymiącemi się panwiami. W innej fabryce ulepiły gniazdo na rurze gazowej tuż nad paleniskiem, w bardzo znacznej temperaturze, i wyprowadziły tam młode. Gwar fabryczny nie odstraszał ich wcale.

W pewnej miejscowości w Saksonii zbudowała sobie para jaskółek gniazdo w sali magistrackiej i to używając za podporę haków, podtrzymujących drut do dzwonka; w innym miejscu, w zbiorze zoologicznym, spostrzeżono nagle gniazdo jaskółcze na grzbiecie krogulca wypchanego, jak gdyby dla ekspiacy za to, iż za życia mordował drobne ptaszęta.

W znanym powszechnie handlu nasion i roślin J. C. Schmidta w Erfurcie zdarzył się ten wypadek, że para szarych pokrzewek (*Curruca cinerea*) uwiła sobie gniazdeczko na drzewku laurowém. Zostawiono im otworem okienko w szklannym dachu, więc bez dalszej troski o kręcącą się po handlu publiczność, wywiodły tam swe młode.

Szczególne rzeczy opowiadają także o wyborze miejsc na gniazda przez pośmięciucha (*Alda cristata*). Na dworcu kolejowym w Lundenburgu na Morawie gnieździły się pośmięciuszki tuż koło szyn, nie zważając na pociągi, przesuujące się ponad nimi z trzaskiem i hukiem.

O podobnie umieszczonem gnieździe pośmięciuszków opowiada przyrodnik Herzog co następuje: W pobliżu Darmstadu w r. 1865 usłała sobie para pośmięciuchów gniazdo w zakątku, gdzie się dwa tory kolejowe krzyżowały. Wkrótce leżały tam już cztery jajka i samiczka zaczęła je wysiadać. Gdy nadchodził pociąg, chowała główkę, lecz gniazda nie opuszczała i wywiodła wnet troje piskląt. Raz jedno z młodych frunęło na szynę i nie zeskoczyło z niej, pomimo, że pociąg się zbliżał. Daremnie stare wabiły je ku sobie—nie miało wyobrażenia o niebezpieczeństwie. Dopiero jedno ze starych, chwyciwszy niedoświadczoną pisklę za czubek, zrzuciło je ze szyny. Wszystko to widział dozorca kolejowy, więc po przejściu pociągu wydobyl gniazdo z młodem i przeniósł je do pobliskiej koniczyny. Stare poleciały za nim i już w koniczynie dokończyły edukacyi młodych.

Przyrodnik Baldamus podał także wiadomość o gnieźdzeniu się pośmięciuszków pomiędzy szynami kolejowemi, a w Eckartshausen, w Wirtembergu, znaleziono gniazdo pliszek białych (*Motacilla alba*) tuż koło zwrotnicy między szynami, po których co najmniej 12 pociągów dziennie przelatywało.

O pliszkach opowiadają, że gnieźdzą się chętnie w próżnych wagonach kolejowych i odbywają w nich podróże.

Przed zamkiem w Warthausen stoją dwa działa bronzowe, zdobyczone wojenna z roku 1870. Jedno działa „L'ecrivain”, lane za czasów Ludwika Filipa, drugie „l'Alsacien” z pod prezydentury Ludwika Napoleona. W r. 1883 zamierzała para kopcuszków (Pliszka czerwonoogon), zwanych w Tatrach „gazdami szłaśnymi”, (*Ruticilla tithys*) usłać sobie gniazdeczko w Ecrivain'ie, lecz nie dokończywszy roboty, przeniosła się do Alzatzczyka. Tam, usławszy gniazdo we wnętrzu działa, zniosła samiczka w czasie od 10 do 15 maja pięć jaj, z których dnia 31 maja pisklęta się wyklęły i d. 14 czerwca marcyalne siedlisko swe opuściły.

O kopcuszkach znane są jeszcze inne autentyczne wypadki oryginalnego bardzo gnieźdzenia się. W pewnej kaplicy zamkowej, korzystając z okoliczności, iż szyba w oknie była wybita, gnieździły się one za ołtarzem; inne w pokoju wieżowym tegoż samego zamku, na pułkach z talerzami, po za pięknym półmiskiem majolikowym. Na grobach, w zagłębieniach krzyżów i t. p., można gniazda ich także nieraz spotykać. Raz znaleziono gnieździącą się parkę w rogu półkoczka, w wozie, który stał dłuższy czas nieużywany w wozowni. Zostawiono ją w spokoju i wywiodła siedmioro bardzo żwawych kopcuszków.

Przyrodnik H. Weisse znalazł parę gnieździących się sikor (*Parus major*) w rurze od pompy studziennej, która już dłuższy czas nie była używaną. Wybór ten uczyniły sikorki tuż obok ogrodu, w którym nie brak było dziupel i innych stosownych na gniazda miejsc. Wywiodły w głębi tej rury, w gnieździe, przez które środkiem przechodził drążek od tłoka, sześcioro młodych, a znosiły im pożywienie z niezwykłą odwagą, gardząc wszelkimi przeszkodami i trudnościami. Gdy rączką od pompy tłok poruszono, poczyniły pisklęta ćwierkać,

lecz nie doznały uszkodzenia, tak mocno gniazdo przytwierdzone było do wewnętrznych ścian rury.

Inną parkę gnieździących się sikor znaleziono w małej używanej skrzynce prywatnej na listy. Samiczce było tam tak dobrze, że aż 14 jaj zniosła i siedziała na nich. Gdy skrzynkę otwarto, nastroszyła tylko piórka, lecz gniazda nie porzuciła i szczęśliwie wywiodła w niem młode.

W Göppingen, w Wirtembergu, znaleziono gniazdo kosa (*Turdus merula*) pod okapem dachowym, w zagłębieniu, utworzonym przez ścianę i skośnie prowadzoną rynną dachową. Gnieździąca się parka schroniła się tam przed kotami, które jej młode w ogrodzie tępiły.

Zdaje się że w wypadku tym znajdujemy główną odpowiedź na wybór tych wszystkich, tak niezwykłych i oryginalnych miejsc gnieźdzenia. Jest to popęd samozachowawczy, dążenie do ochrony piskląt przed rabunkiem nieprzyjaciół. Ochrony tej szukają prawdopodobnie także ptaszęta, które już przemocy rabusiów na gniazdach swych doświadczyły. Przenoszą one wówczas raczej liczne niedogodności i towarzystwo człowieka, niż narażenie się na niebezpieczeństwo od kotów, kun i innych krwawych nieprzyjaciół.

Str.

## POGADANKA.

- 637) Gdzie najczęstsze bywają burze?  
638) Z czego się składają aerolity?  
639) Jakie miasto zostało zastawione w naszym stuluciu?  
640) Kiedy został odkryty brom?  
641) Czem fałszują herbatę?

(Odpowiedzi znajdują się na str. 155-6j.)

## LISTY MOJĘJ BABKI.

### IX.

O! droga! moja najdroższa! Jakże mam Bogu dziękować za to szczęście. Niechże Bóg zsyła na was i te miłą, nowonarodzoną dziecinę tysiączne błogosławieństwa. Niech wam się chowa zdrowo i szczęśliwie na chwałę Najwyższego, na pociechę waszą a na pożytek społeczeństwu. Żyć szczęścia i radości przepełniają oczy moje, a w sercu tyle uczuć się tłoczy, że drżąca ręka nie zdolna przelać je wszystkie na papier.

Cicho, sza, przed starą babunią; oszczędzacie jej troski i niepokoju, aż tu pięknego poranku przynoszą mi list. Spojrzawszy na adres i poznawszy pismo Romana zadrżałam mimowoli. Zwykle dopisywał się do listów twoich, cóż więc mogło znaczyć, że koperta jego ręką była zaadresowana? Otworzywszy list dowiedziałam się, że był on zwiastunem najszcześniejszej z nowin. Padłam na kolana przed obrazem Bogarodzicy a łkanie moje stało się modlitwą. Bóg czytał w sercu i myśli mojej cały ogrom wdzięczności. Widział, że choć na wargach nie drgały słowa, dusza słała Mu dzięki i niemą prośbę za moimi najdroższymi na świecie.

Romanowi zaraz odpowiedziałam chociaż kilku słowami; wzruszenie czyniło mnie niezdolną do dłuższego listu. Rozczuliła mnie delikatność wasza, która taką tajemnicą otoczyła wielki wypadek, chcąc niedołężnej staruszce oszczędzić wzruszeń.

Listu Romana zapewne nie czytałaś. Chcąc cię przekonać jakie złote serce posiadałaś, przepiszę ci z niego parę zdań świadczących o szlachetności twego męża.

„....Wyręczam drogą żonę, która zasnęła przed chwilą, zmęczona odbytą przed kilku dniami podróżą do miasta. Mnie się w udziale dostała misya doniesienia drogięj babuni, że Bóg dobry dał nam zdrowego syna a babuni ślicznego prawnuczka! Proszę być spokojną, wszystko u nas dobrze, wszyscy szczęśliwi! Nie wysyłałiśmy depezy, z obawy, aby nagła wiadomość

zbyt wielkiego nie zrobiła wrażenia. Za parę tygodni złożymy prawnuka na kolanach drogięj babci, której ręce i nogi całujemy wszyscy."

Patrz dziecko, jak zwolna, jak ostrożnie zwiastuje mi on tę nowinę. Drogi, poczciwy Roman! masz perłę mężów!

Cóż powiem ci o sobie? Siedzę wprawdzie na moim fotelu przy oknie, jak codzieln siadywałam, ale zapatrzona w dal, nie wiem prawie co w koło mnie się dzieje. Widzę cię bladą i piękną, z twarzą rozpogodzoną, z wyrazem miłości w oczach. Patrzysz na dziecinę twoją, która dając ci imię matki rozniecała w duszy twojej wszystkie święte i wielkie uczucia, do których byłaś przygotowaną. Patrzysz, upojona szczęściem, na to niemowlę śpiące spokojnie, nieświadome swego istnienia, wątłe i słabe, a w którym ty odczuwasz człowieka. Do wielkiej radości i szczęścia przepełniającego twe serce, miesza się mimowolna trwoga i staje w umyśle twoim pytanie: „Czy ja go wychować potrafię?” Jeśli tylko, w chwilach upojenia i rozkoszy przepełniającej serce młodej matki, stanęło w myśli jej podobne pytanie, już lękać się o przyszłość dziecka nie potrzebuje. Kocha, myśli, zastanawia się, czuje doniosłość swego zadania. To wiele, bardzo wiele; tylko na to pytanie niechaj nie odpowiada miłość własna, samolubstwo, zarozumiałość i uprzedzenie. Niechaj to pytanie będzie dźwignią moralną, bodźcem do pracy i nauki; niech ono każe matce szukać odpowiedzi na wszystkie wątpliwości; niech każe jej badać charakter dziecka, jego skłonności; niech wady i zalety w właściwym ukazuje światło. Dziecię ukochane, śpiące wśród haftów i koronek, to przyszły człowiek, to chrześcianin, syn Kościoła i swęj ziemi, członek społeczeństwa.—*Musi, bo powinien dążyć do doskonałości!* A któż wieść go będzie po twardej, kamienistej drodze ludzkiego przeznaczenia? Kto pierwsze kroki jego prowadzić będzie wśród świata i ludzi? Wszystko mu obce, wszystko mu nowe. Zwraca oczy z tkliwem uczuciem w stronę tę, która pierwszy uśmiech jego odebrała i od kolebki do grobu wierna i kochająca stać przy nim będzie.

Dziecko szepcze pytania, a odpowiedzi matki to granitowe cegielki, które fundament życia dają. Często na razie z tych odpowiedzi nic nie zostaje, przebrzmiają nazawsze może?... O nie! przyjdzie chwila w której silnym echem odezwą się one w sercu dziecka, bo te pierwsze cegielki padając głęboko, stały się fundamentem wielkiego gmachu.

Dziecko moje, śmiało i jasno patrz w przyszłość. Wielkie zadanie twoje, ale Bóg mężnych i roztropnych wspiera. Wiesz, że to dziecię to bryła, z której ty człowieka wyrzeźbić powinnaś. Tam, gdzie męskiej potrzeba ręki, w szerszych zarysach, Roman wyręczyć się nie da; subtelne linie, drobne szczegóły, całość harmonijna, twoim jest powierzona staraniom.

Przygotujcie się do dzieła i ręka w rękę weźcie się do pracy. Pamiętajcie, że miłość wasza rodzicielska dotąd będzie rozsądną, dopóki rozum trzeźwo patrzeć będzie. Niech w tym względzie prawda i logika staną się barometrem waszjej równowagi.

Gdzież się ja znowu zagalopowałam! Zamiast swobodnie puścić wodze fali uczucia, która przepełnia serce siedmioletniej prababki, ja znowu zeszedłam na drogę rozumowania.

Kwiat dotąd wzrasta i cudowną woń wydaje, dopóki łodyga jego trzyma się pnia. Miłość rodzicielska cudownie wydaje owoce, jeśli pnem jej poświęcenie, rozważa i uczciwe zasady.

Dobrze, że sama karmisz synka twojego; prawo natury mądrzejsze od wszystkich wymysłów cywilizacji.

Niech was Bóg błogosławi a mnie pozwoli ujrzeć to maleństwo, które starém ale niewygasłym sercem kocham.

## „Szczęśliwa rzeczpospolita.”

Najludniejszą ze wszystkich rzeczpospolitych Ameryki środkowej, Guatemalę, nazywają podróżnicy „szczęśliwą”. Obfituje ona w okolice urocze, napraszające się pod pedzel

malarza. „Lasy dziewicze nad Rio Izabel—powiada słynny podróżnik Alfred de Valois—ożywiają w porze nocnej przeraźliwe wrzaski wystraszonych ptaków, ryk amerykańskiego tygrysa, krzyki małp zwisłych na giętkich lijanach i świst węża napadającego na gniazdo młodych papug. Przy świetle dziennem oko napawa się cudnym, szmaragdowym połyskiem wód górskich, spływających ze skał porośniętych gajami i obwieszonych ze wszystkich stron festonami pnących się roślin. Najpiękniejsze ptaki, o upierzeniu królewskim, ozywają przestrzeń, naprzemian ze świetnie ubarwionymi motylami.”

Głównie uroczą jest droga „królewską” zwana, wiodąca do miasta Gualanu. Wije się ona pomiędzy lasami i skałami, lecz jest jakby zalaną najwytworniejszymi woniami: słodki zapach wanilli i ostrzejszy kwiatu cytrynowego, łączy się z subtelną wonią skiszutzelli i sukinei.

Znużony podróżny wszędzie znajdzie u krajowców gościnne przyjęcie, chociaż pracują oni ciężko, przeważnie ścinając i obrabiając drzewo machoniowe. W ogóle nietylko krajowcy są tu gościnnymi, rząd też ściśle przestrzega, aby każdy podróżny, bez względu na stanowisko i zamożność, miał w razie potrzeby pokarm i dach do spoczynku. Po wioskach (*ranchos*) urządzone są *kubildos*—domy gościnne, gdzie za schronienie i wyborny posiłek płaci się skromna kwota—dwa reale.

Plodami głównymi „szczęśliwej rzeczpospolitej” są: kukurydza, trzcina cukrowa, kawa, kakao, koszenilla, ryż, bawełna, indygo, czerwony palisander, cedr, złoto, srebro, miedź, ołów, węgiel kamienny i sól. Do plag należy niezliczona moc wszelkiego... robactwa.

Miasta są nader skromne. Stolica tego kraju bynajmniej nie imponuje; posiada szerokie, pod kątem prostym ulice, domy niskie, wszystkie pobielane, z okratowanymi oknami. Dziedzińce przedstawiają się wytworniej; zdobią je wodotryski i kwietniki, na sposób wschodni urządzone.

Spółczeństwo „szczęśliwej rzeczpospolitej” dzieli się na trzy klasy: lud, który składają indyanie, resztki znakomitego niegdyś szczeru Kuieru; drobna szlachta—podająca się za potomków karaibów, rzeczywiście zaś są to mieszańcy indyan z murzynami, i arystokracja—osiedli hiszpanie oraz kreole.

Żebractwo w Guatemali kwitnie; po miastach i wsiach włóczę się tłumy nędzarzy a raczej próżniaków, brudnych, cuchnących, wstrętnych. Plagę tę żywi i podtrzymuje fałszywie skierowane miłosierdzie, bowiem za hańbę tu uważają odprawić z niczym żebraka, chociażby najczęścięj do drzwi pukał.

Politykę uprawiają wszyscy; do tego niepotrzeba wybitnych zdolności. Wybrać prezydenta, zdegradować go, wybrać innego—oto ideał polityków tamtejszych. Jednak obywatele najwięcej czasu poświęcają na waśnie *quasi* polityczne; członkowie zaś rady municypalnej, których podobiznę czytelnik ma na rysunku, tak wysokie mają o sobie wyobrażenie, że w ich przekonaniu, każdy z nich mógłby zostać natychmiast ambasadorem lub ministrem w Europie.

Dygnitarzy „szczęśliwej rzeczpospolitej” widzimy na rysunku w stroju urzędowym, z medalami na szyi i z golemi nogami na machoniowej podeszwie. Gdyby im ofiarowano frak złotem haftowany lub jaki order brylantowy, nie wiedzieliby co z tém zrobić, chociaż mają umysł bystry i praktyczny. Ale ta nieświadomość nie obniża ich zdolności; przecięj i minister włoski Crispi, kiedy otrzymał pierwszą wstęgę orderową, nie wiedział jak jej użyć—i przewiesił ją sobie przez ramię na fraku.

## CZUŁE MAŁŻENSTWO.

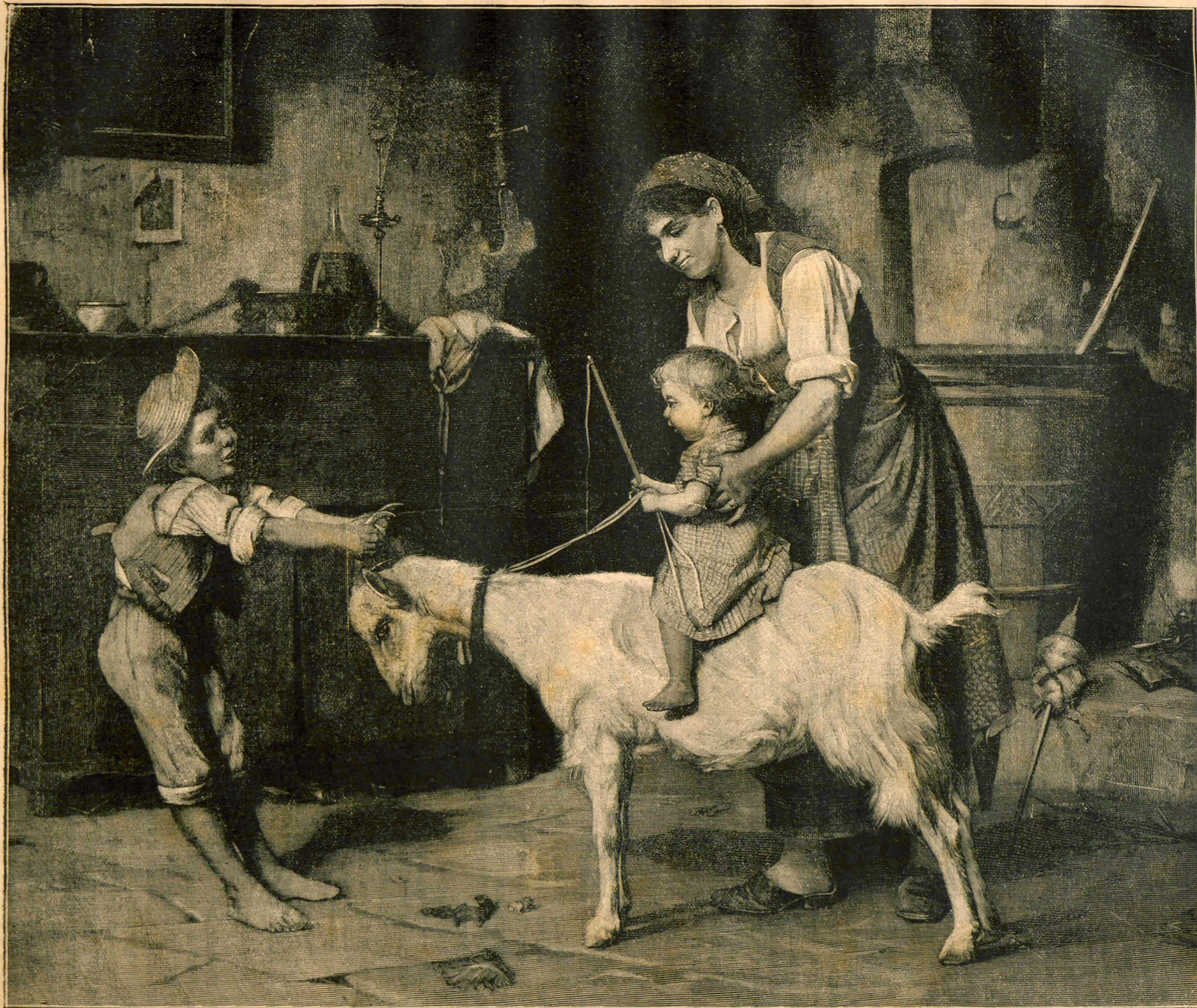
Pobrali się na podstawie rozumnego niby obrachunku. On nie był ani bardzo młody ani bardzo brzydki, miał dużo pieniędzy, mało włosów na głowie, ale zato sporo już tych drobnych dolegliwości, które wraz z łysiną przychodzą zwykle na człowieka, a których nie miał kto pielegnować.

Ona była jeszcze desyć młoda, może nie dość powabna, a co ważniejsza, nie dość bogata a spragniona przyjemności, które tylko majątek dać może.



CZULE MAŁŻEŃSTWO.





PIERWSZY WIERZCHOWIEC.

Zdawało się więc, że ci dwoje stworzeni są dla siebie. On, za pieniądze, kupował sobie opiekę; ona za opiekę kupowała sobie dostatek.

Ale pokazało się, że małżeństwo nie jest arytmetycznym zadaniem, któreby zapomocą czterech działań, a choćby i zapomocą reguły trzech rozwiązać było można.

Para małżeńska, skojarzona bez udziału serca, to para zbrodniarzy na galerach, na cały żywot jednym skutych łańcuchem. Ludzie, których żadne wspólne nie wiąże uczucie, zmuszeni ciągle żyć obok siebie, muszą się naprzód sprzykrzyć sobie nawzajem, a następnie znienawidzić; chyba, że przypadkiem na szczęście spostrzegą jeszcze na czas, że nie mogąc się kochać, mogą ostatecznie szanować.

Nasi małżonkowie na rycinie są w pierwszym peryodzie dziejów małżeństwa z interesu. Wypiwszy śniadanie, z komfortem w pięknym ogrodzie zastawione, nie mieli sobie śnać nic do powiedzenia; on wziął się do gazety, a ona — do kreślenia końcem parasolki liter na piasku. Ładna zabawa!

On, bo śnać flut, tyłem się do nas obrócił, i tylko wspinała łysinę zaprezentować raczył; na jęj twarzy zato widać śmiertelne znudzenie; myśli nad czémś widocznie, ale nad czém?... Szkoda, że nie możemy wyczytać liter kreślonych na piasku, możeby one nas pouczyły...

Gdyby chociaż była matka — ale nie: tylko pies faworyt leży u jęj nóg w kłębek zwinięty. Takim małżeństwom rzadko Opatrzność zsyła w dzieciach pociechę. Może ona się nad tém zamyśliła, i gorycz doznanego zawodu odbiła się w jęj znudzonych rysach.

Co nastąpi po tym pierwszym peryodzie? Wojna czy pokój w wzajemném uznaniu i na wzajemnych ustępstwach oparty?...

Daj Boże, żeby nastąpiło to drugie, a jeszcze lepiej, żeby takich małżeństw nie bywało!

## PIERWSZY WIERZCHOWIEC.

Jesteśmy wobec jednéj z tych sielanek, które trafiają się zawsze w życiu ludu wiejskiego. Scena to z życia rodzinnego. Starszy braciszek wymyślił dla młodszego wierchowca — kożę; urządził mu cugle, dał w rączkę bacik i uprosił matkę, żeby go na puszystym grzbiecie zwierzęcia posadziła, sam zaś ciągnie upornego rosynanta za rogi. W malcu znać trochę strachu, ale jednocześnie oczka śmieją mu się z radości; i na licu matczyném znać uśmiech zadowolenia, a już i mówić niema co o drugim malcu, który jako twórca pomysłu, czuje się bohaterem téj rodzinnej odyssey. Wszyscy troje szczęśliwi: istny fragment z obrazu wieku złotego!

## RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Hodowla róż. Pod Warszawą, między Wolą a Rakowcem, pewien ogrodnik urządza plantacją róż, ku czemu wdzierzał pięć morgów gruntu. Na plantacji hodowane będą te gatunki pięknego kwiecia, które się w klimacie naszym udają najlepiej. Zbiór całkowity plantacji przedsięwzięcia przeznaczają na fabrykację olejku i esencji różanej, produktów dziś sprowadzanych z zagranicy a opłacanych bardzo drogo.

Nowa pułapka na rzezimieszków. P. Adolf Kreuz, mechanik warszawski, wymyślił rodzaj majstersztücku ślusarskiego pod postacią osobliwej konstrukcji zamków bezpieczeństwa. Zamek taki otwiera się kluczem normalnym, lecz niech tylko rzezimieszek zechce użyć klucza podrobionego, wytrycha lub gwoździa, ukryta wewnątrz petarda wybuchą z hukiem i zdradza złe zamiary. Zamek taki można przybić do drzwi, szafy, biurka, kufra i t. d. Prawdopodobnie złodzieje dadzą z nim sobie radę, bo na sposób zawsze jest sposób, a zły człowiek w pomysłach bywa niewyczerpanym.

Sklepy chrześcijańskie po miasteczkach i osadach. Handel po miasteczkach i osadach znajduje się całkowicie w rękach żydowskich. Rzadko gdzie znajdziesz sklep chrześcijański. Żydzi porastają w piórka, patrząc z litością na ludność rdzenną, jako na niedołążną. W ostatnich czasach widać tu i owdzie reakcją lecz występującą jeszcze lekliwie; lekliwość ta pochodzi z przekonania, iż konkurencja z żydami jest niemożliwą. Zaprzeczyć trudno, że żydzi wszelkimi siłami starają się utrzymać monopol handlowy a nawet uciekają się do środków nieuczciwych, lecz wytrwałość, energia i sumiennosc owe zapory powoli zwyciężyć zdołają. Tak się też stanie ze sklepem założonym przez aptekarza, w miasteczku pod Tomaszowem lubelskim. Odrazu zyskał sobie odbiorców w sferze inteligentniejszej a za tą powoli i uboższa ludność się garnie. Założyciel będzie miał korzyść podwójną; sklep mieści się przy aptece, prostaczkowie więc, zaopatrując się w potrzeby domowe, powoli wciągają się do racjonalnego leczenia, porzucając felczorów i znachorów.

„Skarb” wyorany. Pod Rownem, w gubernii Wołyńskiej, na granicy dóbr Rabcze, należących do p. Goreckiego z folfarkiem p. Czarneckiego, wyorano garnek napełniony złotem i srebrnymi monetami. Numizmaty pochodzą z epoki cesarza Augusta Oktawiana i Flawiana, jak to odnośnie wskazują napisy. Znalazcy, włościanie, powodowani chciwością, pragnęli początkowo „skarb” ukryć, lecz niepowściągliwość języka przeszkodziła zamiarowi. Zresztą „skarb” nie przyniósłby im wielkiej korzyści, numizmaty bowiem nie przedstawiają wysokiej wartości nominalnej.

Z Krakowa. (Kor. B. L.) Kraków rozwija się także pod względem zakładów przemysłowo-artystycznych, wyrabiających rozmaite roboty dekoracyjne, dotąd przeważnie z zagranicy sprowadzane. Na wspomnienie zasługują: p. Karola Wawrosza malarnia witraży; p. Jana Zadrazila lito fotografia i cynkotypia; p. Kazimiera Chodzińskiego fabryka statuetek kościelnych. Wymienieni artyści odbyli gruntowne studia zagranicą. — Obraz Matejki „Zaślubiny Kazimierza Jagiellończyka z arcyksiężniczką Elżbietą, córką cesarza Albrechta, w r. 1453”, przeznaczony na podarek ślubny dla córki cesarza Franciszka Józefa, arcyksiężniczki Waleryi, znawcy nazywają arcydziełem. — P. K. Bartoszewicz ułożył bardzo dokładny „Przewodnik po Krakowie”. Wydawnictwo zdobyło liczne rynunki. — Na wystawie szkoły sztuk pięknych złotego medalu nikt nie otrzymał; w ogóle wystawione prace nie przekroczyły granicy mierności, niektóre zaś i do téj nawet mety nie doszły. Bardzo przykre wrażenie wywołał na publiczność suchotniczy plon młodzieży kształcącej się na artystów. Ani talentu ani nauki! — Docent chorób umysłowych na wszechnicy naszej d-r K. Żuławski otworzył własny zakład leczniczy dla obłąkanych; jest to pierwszy prywatny zakład téj specjalności na całą Galicyę. — Liczbę czasopism rolniczych powiększy wydawnictwo zeszytowe, ilustrowane, „Rozwój przemysłowy i gospodarczy wiejski”. Oby dobre chęci wydawców nie rozwiały się, jako „pył marny”, wobec obojętności naszej do zapoznawania się z literaturą specjalną. — Dom przytułku dla ubogich kalek i rekonwalescentów, fundacji ś. p. Helclowej, po poświęceniu przez księcia kardynała ks. Dunajewskiego, oddany został na użytek publiczny. Jest to gmach dwupiętrowy, składający się z budynku głównego i dwóch bocznych skrzydeł. Posiada wszelkie ulepszenia i wygody: kaloryfery, dezynfektory, wodociąg, gaz i t. d. Koszta budowy gmachu (wraz z gruntem) wynoszą 700,000 złr., kapitał zaś żelazny instytucji 1,000,000 złr. W pierwszej chwili tylko sześćdziesięciu biedaków będzie tu miało schronisko. Zamało! — Zjazd lekarzy-chirurgów zgromadził 40 uczestników. Gości witał prezes a zarazem organizator zjazdu d-r Rydiger. Uczestnicy zwiedzali szpitale, kliniki oraz inne zakłady zdrowotne; nadto odczytywali referaty specjalne. Najwięcej interesującym był wykład d-ra Bogdanika p. t. „Demonstracja pocisków manlicherowskich i preparatów anatomicznych z poległych w Białej szlązkiej, w dniu 23 kwietnia r. b.” Tu dołączę mały komentarz. Manlicher należy do szeregu tego rodzaju dobroczyńców, którzy ludzkość XIX stulecia zaopatrują.. w broń palną. Dobroczyńca wymyślił karabiny wyrzucające 40 kul na minutę; nabój wymaga tylko

4 gramy prochu i niesie o 5,000 kroków—nadto zabija wiele higienicznie (wybaczcie ironią!) dzięki przedziwnej konstrukcji pocisków. Kule są małe, sztuka waży 15 gram zaledwie, mają kształt stożka, powleczonego silną osłonką stalową. Pocisk ten nazywają lekarze „ludzkiem”, bo nie zakaża rany i jeżeli ugrzęźnie w ciele, łatwo go wyjąć można. Stwierdził to d-r Bogdanik na zabitych w Białej.—Gmina krakowska otrzymała poważną dla siebie propozycją rządu, aby włączyć w obręb miasta wszystkie miejscowości znajdujące się w obrębie fortów; przez to Kraków nabierze wyglądu wielkiej stolicy.

**MIECZ i DYPLMACYA.** Jaskółki wojskowe. Nie dość było gołębi pocztowych, wprawionych do służby wojennej; niewyczerpany w pomysłach tego rodzaju człowiek naszej pokojowej epoki, postanowił i lotne jaskółki zaprzędz do téj posługi. Francuz, niejaki Desbouvre, zamieszkały w Roubaix, w departamencie północnym, pierwszy wpadł na ten pomysł, zabrał się, nie mieszkając, do roboty, i już pierwsze wytresowane w swojej szkole jaskółki przedstawił władzom wojskowym. Jaskółki pana Desbouvre zimują wybornie u swego mistrza i pana, i zupełnie jak gołębie wracają do miejsca z którego wypuszczone zostały; a że lot mają bez porównania szybszy, że nie potrzebują, jak gołąb, zatrzymywać się na popasy, gdyż żywią się owadami w locie chwytanymi, więc przedstawiają daleko większe dla korespondencji wojennej korzyści, nie mówiąc już o tém, że jaskółkę o wiele trudniej niż gołębia zastrzelić. Biedne ptaszęta! czyż one spodziewały się kiedy, że ludzie, którym one lepiąc gniazdko pod ich strzechą szczęście i spokój wróżyły, użyją ich kiedyś do przesyłania sobie wieści, wzajemne tępienie się mających na celu.

Niemcy praktyczni. Pisma ruskie coraz baczniejszą zwracają uwagę na kolonizację niemiecką w Królestwie Polskiem, uważając ją za sprawę polityczną. Niby krety podkopują się niemcy pod grunt tutejszy i przygotowują odpowiednie postępowanie na wypadek wojny. „Olbrzymie lasy, dobra, pałac z parkiem—piszą „Mosk. Wied.”—wszystko to nabył głośny milioner i patryota niemiecki von Donnersmark. Administracja dóbr, poczynając od rządów a kończąc na strzelcu, składa się z prusaków czystej krwi, ubranych w szare surduty, z piórem u czapek, zdrowych, silnych, z wydatną na pół arszyna pierśią. Robotnicy pochodzą także z Prus a włościanie miejscowi muszą szukać zarobku gdzieindziej. Gospodarka tu wzorowa. Lasy zamieniono na park; sarny i jelenie pasą się stadami. Włościanie próbowali wyciąć parę drzewek, lecz zawsze się tak trafiło, że obok ściętej sosny znajdowano zastrzelonego włościanina. Winowajca zawsze potrafił ująć kary a jeżeli na kogo padło podejrzenie, ten już gdzieś w Prusach przebywał. Pałac, park, ogród, budynki gospodarskie są urządzone w ten sposób, że w parę dni mogą być zamienione na silny fort; brak tylko armat. Kolój żelazna przecina kolonie niemieckie; robotników Niemców całe tysiące pracuje w Łodzi, Pabianicach, Tomaszowie, Sosnowicach i w kopalniach; jest to lud młody, silny, zaliczony do armii pruskiej. Kojarzy on się w rozmaite stowarzyszenia o regulaminie wojskowym—śpiewackie, strzeleckie i t. d.”

**Emigracja we Francji.** Francuzi dotąd bardzo niechętnie przenosili się na obcą ziemię, pod obce niebo; obecnie atoli gorączka emigracyjna i między nimi grasować zaczyna. Do wzrostu jej przyczyniają się pogorszone stosunki wewnętrzne we Francji, bankructwa wielkich przedsiębiorstw, takich jak *Union générale*, budowa kanału Panamskiego i innych, coraz większa trudność zarobku, wreszcie nurtowanie agencji emigracyjnych, które biednych ludzi ludzą obietnicami złotych doli, namawiając ich do przesiedlania się w dalekie strony, mianowicie do rzeczypospolitej argentyńskiej. W ubiegłym roku już 25,000 francuzów opuściło kraj rodzinny, wśród których pokazała się cyfra stanowiąca bretoni. Na ziemi bretońskiej, niedaleko Angers, są ogromne łomy kamienia łupkowego, w których znajdowało ciężką pracę ale ostatecznie jaki taki zarobek, około siedmiu tysięcy ludzi. W skutku atoli przesileni ekonomicznych we Francji coraz mniej buduje się domów, do których pokrywania służy łupek angerski. Zmniejszenie

się odbytu zachwiało interesami przedsiębiorców-kamieniarzy. Wielu z nich zbankrutowało zupełnie, inni zmniejszyli znacznie liczbę zajętych w łomach robotników. Większa połowa tych biedaków, pozbawionych chleba, stała się łupem agencji emigracyjnych, które ich gromadnie wywoziły do Argentyny. Nieszczęście chciało, że przybysze trafili w sam raz na chwilę krachu giełdowego; zamiast więc korzystnego zajęcia, znaleźli nędzę, o jakiej w kraju nie mieli wyobrażenia; literalnie marli z głodu na ulicach Buenos-Ayres. Czy ta straszna nauka poskutkuje; czy dokaże czego głos najprzewielebniejszego księdza Freppła, biskupa angerskiego, który w izbie deputowanych domagał się poskromienia gospodarki agencji emigracyjnych?... Któż to zgadnie?... A nasi emigranci do Brazylii?...

**Święto Napoleonidów.** Coś, jeżeli nie wszystko, popsuło się w tym cezaryzmie Bonapartych. Święto Napoleonidów, 15 sierpnia, przeszło tego roku prawie cicho i niepostrzeżenie; odbyło się wprawdzie parę uczt, na których było jeszcze po kilkuset biesiadników; wygadywano podczas nich na republikę a sławiono cesarstwo; na jednej z nich wzniesiono nawet toast: „Niech żyje cesarz!”, ale gdyby nie telegram księcia Wiktora, w którym dziękował biesiadnikom za pamięć o sobie, może nie jeden nawet francuz nie wiedziałby, kogo właściwie wnoszący ten toast miał na myśli. *Sic transit gloria* byłoby podobno najwłaściwszą dewizą, jaką przyjąłby dziś mogli skarleli wnu-kowie olbrzyma z wyspy św. Heleny.

**Obraził się.** Tippoo Tip, potężny władca obszernych prowincyj w Afryce środkowej, obraził się na Stanleya, z powodu, iż tenże podróżnik w książce swojej wyraził się o nim nieprzychylnie. Obrażony królik w liście przesłanym do króla belgijskiego (którego jest lennikiem) grozi Stanleyowi, iż skoro ten pojawi się w Afryce, spotka go sroga zemsta. Stanley pogroźek Tippoo-Tipa nie ulęknie się, chociaż królik w Afryce posiada wpływ nielada.

## POGADANKA.

637) Zdawałoby się, że krajem najczęściej nawiedzonym przez burze jest Jawa, jedna z największych i najpiękniejszych wysp na oceanie Indyjskim. Obrachowano, że zdarzają się one tam dziewięćdziesiąt siedm razy przez rok, przybierając rozmiary nieznanne w Europie. Tymczasem w górach Błękitnych na Jamajce, burze srożą się przez 150 dni, czyli przez pięć miesięcy w roku. To samo się dzieje na południowych wybrzeżach Afryki, gdzie burze trwają od października do lutego. W Anglii burze trafiają się przecięciowo tylko siedm razy rocznie.

638) Aerolity składają się z różnych związków mineralnych, między którymi przeważają krzemiany i żelazo meteoryczne. Prócz tego znajdują się w nich inne kruszce, jako to: nikiel, miedź, mangan, grafit, żelazo chromowe i niklowe i t. d.; krzemiany wapna, sodu i glinu, węgiel, siarczan magnezu, sodu, wapna i potażu, oraz niektóre gazy w stanie zgęszczonym, jako to: wodór, azot, tlenek i dwutlenek węgla. Znajdowano w nich także drobne kryształki dyamentów.

639) W średnich wiekach nieraz zdarzały się wypadki, że zastawiano nie tylko miasta ale całe prowincje, w dziewiętnastym stuleciu jednak trafił się tylko jeden fakt podobny. Szwecya zastawiła w r. 1803 małe miasto portowe nad Bałtykiem, Wismar, księztwu Meklemburskiemu za pewną sumę pieniędzy. Było umówione, że przy końcu tego wieku Meklemburg zwróci Szwecyi to miasto, jeżeli rzeczony państwo wypłaci mu dług wraz z procentami. Suma ta urosła już do kilkuset milionów marek i prawdopodobnie nigdy wyplaconą nie zostanie.

640) Francuzki chemik, Ballard, rozbierając w r. 1826 wodę morską, znalazł w niej substancję dotąd nieznaną, która, jak się okazało, była pierwiastkiem. Gay-Lussac i Thénard nazwali je *bromem*, od wyrazu greckiego *bromos* (brzydka woń), stanowiącej jedną z jego własności. Jest to ciało płynne barwy ciemno-czerwonej, które w związkach swoich okazało się nader pożyteczne, zwłaszcza w farmaceutyce i w sztuce fotograficznej.

641) Mało kto w Europie pija herbatę zupełnie czystą i od wszelkich wolną przymieszek. Nawet w wysokich jej gatunkach znajdują się liście wszystkich niemal rodzajów rośliny *Thea*, a mianowicie: *Thea bohea*, *Thea viridis*, *Thea stricta*, *Thea assamica* i t. d. Do innych tańszych gatunków mieszają, jak się przekonano z analizy rozmaitych prób herbaty dokonanej w Petersburgu, liście zielska tak pospolitego, jak wierzbowka wązkolistna i kosmata, liście wiązu polnego, tarniny, poziomki, jesionu, bzu, róży, czarnej porzeczki i innych. Prócz tego znaleziono tam różne dodatki mineralne i chemiczne, jako to: gips, piasek, indygo, berlinerblau, drzewo kampezoze i inne.

# MĘCZENNICZA PYCHY.

POWIEŚĆ

PRZEZ

V. MONNIOTA.

TEUMACZYŁA Z. H.

(Dalszy ciąg.)

— Kryjesz więc coś przedemną?—rzekłam raz cierpko.—Cóż to są za obrazy czy modele, których mi nie wolno widzieć?

Albert upatrując w tém zniecierpliwieniu zazdrość, wynikającą z przywiązania, ucieszył się bardzo, wymawiał mi bowiem zawsze słodko, że byłam obojętną dla niego.

— Nie gniewaj się, droga Rafaelo—odparł serdecznie.— Nie mam żadnych tajemnic przed tobą; jeżeli chcesz, pokażę ci zaczęłą pracę moją, ale chciałem ją w pierw wykończyć, aby ci sprawić niespodziankę.

To mnie rozbroiło; uśmiechnęłam się i chmura się rozszła. Nazajutrz udałam się do jego pracowni. Przyjął mnie jak poddany, w którego progi raczyła wstąpić ukochana królowa.

Piękna i artystyczna praca, której oddawał się z takim zapalem, był to dużych rozmiarów portret mego ojca, skopionowany z małej miniatury. Podobieństwo rysów schwycone było znakomicie; szlachetna twarz starca, zdawała się życia nabierać pod wprawna dłoń mistrza.

Uradowana i wzruszona zarazem, jęłam gorąco dziękować Albertowi; jednak pilno mi było przerwać to sam na sam. Tęskniłam do ludzi i świata, gdyż nie wystarczało mi towarzystwo mego męża; obojętni stronili od domu nawiedzonego żalobą, tak, że nie widywałam prawie nikogo, prócz panny Marty i Hortensyi. Nawykła do płochych rozmów światowych, nie znajdowałam wiele przyjemności w ich poważnej rozmowie; nic mnie nie obchodziły cudze cierpienia i niedostatki, mnie, która opływałam we wszystko. Myśl zaś podsuwana mi, abym oddała się miłosiernym uczynom dla wypełnienia wolnego czasu, wydała mi się śmieszna. Czując, że to położenie rzeczy przeciągnie się do nieskończoności, jeżeli nie uczynię pierwsza stanowczego kroku, skorzystałam z chwili, aby powiedzieć do męża:

— Zbliżasz mnie do mego drogiego ojca... chciałabym ci okazać za to wdzięczność moją, zbliżając cię do twojej matki. Gdybyśmy ją zaprosili na obiad?

Albert, rozczulony, zawołał:

— A cóż to za pocziwa myśl! Dziękuję ci, najdroższa moja, że chcesz zapomnieć o waszych drobnych nieporozumieniach i uczynić pierwsza krok do zgody. Moja biedna matka nie śmiała cię o to prosić, ale jestem ci nieskończenie wdzięczny, żeś przeczuła moje najgorętsze życzenie!

Radość, która wystąpiła na jego lica, nie podobała mi się; duch przekory opanował mnie znowu.

— Rozumiesz, że twoja matka byłaby może zakłopotaną, a nawet niezadowoloną, gdyby się znalazła sam na sam z nami. Przewidziałam to niebezpieczeństwo i dlatego jestem zdania, że spotkanie nasze powinno się odbyć w obecności kilku obcych osób niewtajemniczonych w nasze rodzinne sprawy. Czy zgadzasz się na to?

— Zgadzam się na wszystko co chcesz, byle tylko nawiązać napowrót przerwane węzły rodzinne—poważnie odparł Albert i uściśnął mi rękę z wdzięcznością.

— Nie przypuszczasz przecie, aby w tém zajściu ja byłam winną?—zapytałam podrażniona.

— Moja matka okazała się zanadto wrażliwą, ale cała wina spada na mnie; zaniedbywałem ją trochę od powrotu mego do kraju, lecz w Szwajcaryi, na emigracyi, żyliśmy tak serdecznie z sobą, że stanowiliśmy niemal jedno serce i umysł... To przywiązanie nasze pomagało znosić jej bez szemrania roz-

łąki ze swoimi i niedostatki wszelkiego rodzaju. Była ona wzorem matek, powinienem był odplacić jej za to synowskiem poświęceniem, wróciwszy jednak do Paryża, dałem się porwać wirowi światowemu i oszołomić łaską, jaką okazywali mi książęta. W końcu poznałem ciebie, droga Rafaelo, i do reszty straciłem głowę; stosownie do twoich życzeń, zataiłem przed matką moje projekta i poprosiłem o twoją rękę zanim otrzymałem jej zezwolenie. To ją boleśnie zraniło; trudno aby było inaczej... Nie umiała ukryć przed tobą swego żalu; od pierwszego waszego spotkania źle uprzedziłyście się wzajemnie do siebie.

— Co dziwnego?—odparłam.—Nie mogłam przyłgnąć do osoby, która na samym wstępie robiła mi wyrzuty.

— Moja matka grzeszy tylko zbytkiem uczucia. Jestem pewny, że gdybyś ją lepiej poznała, musiałabyś pokochać.

— Nie wiadomo nigdy jak do niej mówić i jak ją przyjmować; we wszystkiem upatruje brak należnych względów.

— Gdy się przekona, że ma w tobie kochającą córkę, przestanie urażać się drobnostkami.

— Cóż więc mam robić żeby ją przekonać, że żona jej syna jest jej synową?

— Droga Rafaelo, nigdy nie nazwałaś ją matką!

— Ta nazwa przywołuje mi na myśl zbyt bolesne wspomnienia; zresztą hrabina de Mérans jest tylko moją teściową. Myślisz sobie zapewne—dodałam z gorącemi wypiekami wstydu na twarzy—że księżna d'Areva nie była rzeczywistą moją matką; ale co to znaczy, kiedy kochałam ją jak kochać może tylko córka. Nigdy jednak nie potrafię się przemódz, aby matką nazwać panią de Mérans.

— Jesteś przecież jej córką na mocy trwalszych jeszcze związków niż te, które cię łączyły z drogą twoją przybraną matką. Dziecię, któremu dasz niedługo życie, będzie jej wnukiem; w imieniu tego aniołka zaklinam cię, droga moja, zbliż się do jego babki!

— Twoje słowa obrażają mnie, Albercie—odparłam zapłonią, cofając rękę.—To co mówisz zakrawa na nagane mego postępowania. Czyżbyś wolał matkę twoją odemnie?

Łzy tłumionego gniewu puściły się z mych oczu; Albert, przypisując je czułości dla siebie, zmiekl odrazu.

— Ani na chwilę nie wątpię, że wszystko czynisz w dobrym celu. Trzymałaś dotąd matkę moją w oddaleniu nie przez niechęć do jej osoby, ale dla uniknięcia zupełnego zerwania stosunków; teraz zaś chcesz jej ułatwić zbliżenie się z tobą wśród krótko osób poufnych. Pochwalam w zupełności twój projekt i cieszę się nadzieją, że potraficie się ocenić.

— Jak widzę, przypuszczasz, że tylko odemnie zależy ziszczenie tej nadziei; chcesz mnie skłonić do poświęceń w tym kierunku.

— Chcę tylko i pragnę abyś się matce mojej pokazała taką, jaką jesteś w istocie, jaką ja cię widzę codziennie, a nie wątpię, że potrafisz pozyskać całe jej serce.

Rozmowa była burzliwą. Oddalenie od świata widocznie ujemnie odziaływało na Alberta, który stawał się badawczym i wymagającym; trzeba było copędzej położyć temu koniec.

Lista gości zaproszonych przezemnie na nasz rodzinny obiadek była tak długą, że Albert, przejrząwszy ją, wyrzcił swe zdziwienie; ale miałam gotową odpowiedź na wszystko:

— Ta osoba będzie przyjemną tej drugiej, a tamte znowu pani de Mérans...

Życzenia moje skryte spełniły się: w świecie rozeszła się wieść, iż otworzyliśmy na nowo salony. Naiwni dowodzili, iż wracając do świata przed ukończeniem żaloby, robię ustępstwo dla mego męża i chwaliли mój rozsądek. Nie godziło się bowiem młodego i mającego tyle powodzenia w salonach hrabiego de Mérans, trzymać ciągle w domowem odosobnieniu. Rada byłam w duchu, że tak korzystnie tłumaczono sobie moje postępowanie.

Żaloba, którą nosiłam, zaspakajala nieco ostatnie wymagania mego sumienia, a w niczem nie przeszkadzała kobiecej próżności. Umiałam prostotę mego stroju połączyć z wyszukaną elegancją; czarny kolor podnosił matową białosć mojej cery i sprawiał, że wydawałam się szczuplejszą.

O! drogi ojczy, przebac mi... do czegoż nie prowadzi próżność!

Zarzucono nas zaproszeniami na obiady i koncerty. Potem zaczęto wspominać o balach; Albert dał się porwać prądowi dawnego życia; starałam się, aby oszołomiony wirami zabaw nie zatęsknił do domowego zacisza.

Prosił mnie jednak abym, bacząc na moje zdrowie, nie męczyła się zbyt i oszczędzała sił swoich. Więcej odemnie myślał o dziecięciu, które Bóg miał nam wkrótce zesłać; posądzałam panią de Mérens, że mu często przypominała ojcostwo.

Gdybym była mniej uprzedzoną do mojej teściowej, lody pomiędzy nami byłyby się przełamały raz na zawsze. Na jeden krok, który zrobiłam ku niej, ona ich robiła cztery; ale wtedy ja cofałam się z obawy, aby nie posunęła się zbyt daleko.

Biedna matka nie tylko cierpiała na tём, że tak rzadko widuje swego syna, ale przeczuwała jeszcze, iż rozłączoną będzie z wnukiem, którego wyczekiwała z takim upragnieniem.

Od wieków istniał zwyczaj w rodzinie de Mérens'ów, że najstarszy syn głównego szczepu brał po ojcu imię Alberta, wstawione przez jednego z przodków na wojnie krzyżowej. Z całej niegdyś licznej rodziny, pozostał tylko jeden mój mąż; gorąco też pragnął mieć syna, któryby nosił jego imię i nie dozwolił rodowi wygasnąć.

Ja również życzyłam sobie syna, ale stanowczo oświadczyłam, iż nie nazwę go Albertem; postanowiłam, iż będzie się nazywał Karlos.

Mąż mój pojmował moje pobudki, mniej szlachetne jednakże niżeli przypuszczał; błagał mnie wszakże, najwięcej ze względu na matkę, abym zrobiła ustępstwo, dla odwiecznej tradycji rodu, w który weszłam. Pani de Mérens byłaby niepokieszona, gdyby nie uszanowano tego zwyczaju święconego od tak dawna w jej rodzinie; Albert wielokrotnie przyrzekał jej, iż się do niego zastosuje.

Żadne z nich nie przewidziało, iż życzenia ich napotkają nieugięty opór młodej matki; ażeby osiągnąć cel mój, a nie zrazić męża, uciekłam się do wybiegu: udałam, iżby mnie za dużo kosztowało odstąpić od imienia, które tak drogiem było moim rodzicom.

Czyż nie ten powód miałam na względzie; chodziło mi głównie o to, aby utwierdzić mniemanie, że byłam siostrą Karlosa d'Areva?

Syn mój otrzymał na chrzcie imię Karlosa, do którego pozwoliłam dołączyć Alberta; tradycja jednakże została zerwaną.

Karlosie! biedne dziecko moje! odpokutowałeś ty za błędy twój matki! Urodziłeś się zdrowy i silny; ojciec i ja nie mogliśmy nasycić się widokiem twój urody. Albert spojrzeniem miłości ogarniał matkę i syna, ja zaś, tuląc cię w objęciach, dziwiłam się, że takie wzruszenie ogarnia mi serce. Miłość macierzyńska byłaby mnie może przeistoczyła, gdyby próżność moja nie stawiała tamy jej szlachetnym popędom.

W uniesieniu radości, postanowiłam sama karmić syna; poprzednio nie powstało mi nawet w myśli poddać się przyusowi, jakie zadanie to pociąga za sobą. Pomimo przestróg lekarza, sama podjęłam się obowiązków karmicielki.

Do dziś dnia poczytuję za obowiązek każdej matki karmić swoje dziecko, jeżeli jej zdrowie na to pozwala; pod warunkiem jednakże, iż słuchać będzie rad osób doświadczonych i w pielęgnowaniu wątłej istotki nie będzie się rządzić jedynie swoim kaprysem; ja zaś, nawet w pełnym rozwoju uczuć macierzyńskich, nie przestałam być zarozumiałą i próżną. Z zachwytem wpatrywałam się w mego aniołka; we dnie i w nocy chciałam go ciągle mieć przy sobie. Siły moje spotęgowały się miłością; byłam niestrudzoną, wyrzekłam się świata i jego rozrywek, zamknęłam się w czterech ścianach domu i nie cofałam się przed żadnym trudem ani przykrością macierzyńskim zawodu.

Podziwiałam sama siebie, jako zwykle o tój porze, zwiększać rakolwiek światowa kobieta posunęła, że zbiory tamże wy-czenie swoje? Nie opuściłam żad-  
się swojemi zasługami, wiedziar-  
przyjemność, więc otaczano  
dzideł.

Przyznać trzeba, iż wrzekome umartwienie, jakie sobie zadawałam nie bywając w świecie, redukowało się w rzeczy samej do bardzo małych rozmiarów; dwór bowiem i cała arystokracja paryzka pogrążone były w żalobie, skutkiem śmierci następcy tronu, który padł pod sztyletem mordercy; popłoch i przerażenie były ogólne; nie było nigdzie mowy o balach. Ten zastój towarzyski ułatwił mi moje poświęcenie.

Kilka znajomych pań, znudzonych żalobą, której powinny były przynajmniej zachować pozory, powzięło myśl urządzania małych zebrań w poufnym kółku; nie mogłam oprzeć się pokusie wzięcia w nich udziału. Urządziwszy się w ten sposób, aby dziecko nie ucierpiało na mojej nieobecności, starałam się przyjemność pogodzić z obowiązkiem. Gdy ruch towarzyski wzmógł się z czasem, znajdowałam zawsze jakiś ważny powód do wyjścia. Dziecko powinno być karmione tylko we właściwej porze; czy więc jestem w domu czy nie, wychodzi na jedno. Rozsądnie nawet robię usuwając się, bo możebym nie miała siły oprzeć się dziecięcym łzom, a bezemnie kilka łyżeczek ocukrzonej wody pozwoli mu cierpliwie czekać na mój powrót. Zresztą pokładałam zupełne zaufanie w bonie, która ślepo spełnia moje rozkazy, a nie chcę psuć dziecka.

Byłam tak zazdrosną o syna, że chciałam aby powszechnie uchodził za najpiękniejszego i najsilniejszego z swoich rówieśników; nie znosiłam, aby inne dzieci chwalono w mojej obecności. Chociaż od całego domowego otoczenia wymagałam poświęcenia bez granic dla mego dziecka, jednak pieśczęty jego i uśmiechy skarbiłam wyłącznie dla siebie. Ono do mnie jednej należało; czemże były prawa ojca lub babki wobec praw matki-karmicielki! Chcę, aby rączęta jego do mnie tylko wyciągały się z miłością, aby tylko przy mnie czuł się wesół i szczęśliwy.

Drażniło mnie, że jak tylko Albert się pokazał, dziecko przestawało płakać i odyskiwało wesołość. Zazdrosną byłam o moją teściową, która, jako doświadczona osoba, lepiej odemnie umiała je pielęgnować gdy niedomagało. Kierowałam się tylko moją fantazyą. Gdy mnie ostrzegano, że zimno na dworze i że należałoby dziecka nie wypuszczać na spacer, a przynajmniej ciepło je okryć, doświadczyłam, że mam zasadę wyprowadzać dziecko na świeże powietrze, bez względu na pogodę.

Nienawidziłam osób, które czyniły mi jakieś uwagi, a oburzenie moje przeszło wszystkie granice, gdy Karlos pewnego dnia rozchorował się niebezpiecznie; podczas ząbkowania dostał on nagle silnych konwulsyj. Przerażona, tracąc głowę, pozwoliłam teściowej i kilku innym paniom dostąpić do kolebki; zanim przybył doktor, każdy doradzał mi jakiś uspakajający środek. Chciałam stosować wszystkie ale matka mego męża opierała się temu energicznie, w przekonaniu, że to może dziecku zaszkodzić.

— Zaklinam cię, droga Rafaelo, nie rób nic bez porady doktora, który nadejdzie niebawem a przynajmniej pozwól mi zrobić to, o czém wiem z doświadczenia, że pomaga w takich razach.

— Z jakiegoż powodu rady pani przenosiłabym nad rady księżnej L... i hrabiny T...?—zawołałam w uniesieniu.

— Bo te panie same przynajmą, że nigdy nie miały do czynienia z podobnym wypadkiem.

— Istotnie, ustępujemy przed doświadczeniem hrabiny de Mérens—dodały obie te panie i usunęły się, pocieszając mię jak mogły.

— Nikt nie dotknie mego dziecka!—zawołałam rozdrażniona.—Zostaw mnie

— Zostaw mnie ~~na~~ tomy, z przesyłką rs. 2 k. 70. „Ignacego  
— Moj... syna” 4 tomy rs. 4 k. 50. „Fredry ojca” dzieło 12  
Tomów 5 wybranych komedij rs. 1 k. 60. — Zrozpaczonemu  
wnuka p... ona popełniła zbrodnię ponad zbrodnię, i mnie nieszczęśliwego  
śliwa niegodnie.” A cóż my na to poradzimy? Zamiast do redakcyi,  
pan lepiej te wiersze niewiernej kochance, a może więcej ją wzruszą.

## PRACE LITERACKIE.

Ogrody, czyli opis prowadzenia sadu, ogródka owocowego, ozdobnego, ogrodu warzywnego, inspektorów, oraz wskazówki użytkownika owoców. Z licznymi drzeworytami w tekście. Napisał E. Raddo, członek towarzystwa ogrodniczego w Szwajcaryi. Książka ta zawiera spostrzeżenia z praktyk



Dlaczego cesarz Wilhelm wcześniej wrócił do Berlina niż zamierzał—Zjazdy z cesarzem Franciszkiem Józefem i królem rumuńskim.—Obrona Capriviego.—Wiec katolików w Koblencji.—Mowa ks. Schmitza—Broszura „Do robotników niemieckich”.—Energiczny krok Crispiego.—Głód w Irlandyi.—Publikacja królowej Natalii.—Owacye dla Milana.—Reformy armehskie.—Ucieczka Mussa beja.—Przygotowania obustronne.—Sultan się ociąga.

Wcześniejszy nad pierwotny zamiar powrót cesarza Wilhelma z ostatniej podróży do Berlina, jest dotąd przedmiotem rozmaitych domysłów i komentarzy. Podczas gdy „Ajencya północna” utrzymuje, że przyczyną pośpiechu były zamieszki socjalistyczne w Friedrichshain, pisma półurzędowe berlińskie twierdzą, że tylko burza na morzu skłoniła cesarza do rychlejszego opuszczenia Narwy, dodając, że w drodze do Kłajpedy, yacht cesarski znajdował się na chwilę w niebezpieczeństwie. To ostatnie twierdzenie nie wytrzymuje krytyki, zdrowa bowiem loika przypuszczać każe, iż burza na morzu raczej na odłożenie niż na przyspieszenie odjazdu wpłynąćby mogła.

Chodzą wieści, że cesarze niemiecki i austriacki dwukrotnie zjechać się mają, naprzód w Lignicy a następnie w Styryi; drugi ten zjazd nie ma mieć zupełnie charakteru politycznego, gdyż cesarz Wilhelm poprostu na polowanie został zaproszony; mimo to tak częstym spotkaniom nie można odmówić intencji położenia manifestacyjnego nacisku na serdeczność niemiecko-austriackiej przyjaźni. Obiega też pogłoska, że cesarz Wilhelm w jesieni zjedzie na manewra do Węgier południowych, gdzie również ma przybyć król rumuński.

Mnożą się objawy, świadczące o zupełnej zmianie metody rządowej w Niemczech; po memoryale Capriviego mającym na celu obronę ugody anglo-niemieckiej, w ministeryalnym dzienniku „Post” zjawiał się artykuł stający w obronie samego Capriviego, dowodzący, że on jest znakomitym mężem stanu, człowiekiem żelaznej pracy i bystrego pojęcia. Może to być, ale to pewna, że za Bismarka nikt nie czuł potrzeby podobnych artykułów, i że kanclerz żelazny nie byłby pozwolił na podobne o sobie dowodzenia w dzienniku półurzędowym, i byłby je sobie za ubliżenie poczytał.

Wiec katolików zebrany w Koblencji, d. 28 z. m. zakończył swoje pięciodniowe posiedzenia. Rezultat jego obrad da się streścić w żądaniach: wskrzeszenia władzy świeckiej Papieża i przywrócenia wpływu Kościoła na szkołę. Poglądy członków wiecu na kwestyę socjalną znalazły wyraz w przemówieniu księdza Schmitza. „Wezwani do walki bronią duchową z socjalizmem—mówił on między innymi—nie lekceważymy przeciwnika, ale go się też nie lękamy; owszem, pewni jesteśmy zwycięstwa... Demokracja socjalna nie jest nowością; zasady jej od dziesiątka lat wykładano z katedr uniwersyteckich, poczytując ją za jedną z postępowych zdobyczy wieku dziewiętnastego. My powinniśmy śmiało stanąć do walki z socjalizmem; organizacją postawić naprzeciw organizacji, do zgromadzeń naszych przypuścić robotników, szczególną uwagę zwracać na młodzież. Demokracja socjalna pozbawiła robotników zdolności pojmowania słowa Bożego; dla zaradzenia temu spotkanie nasze powinno się odbywać, i to zakonów wszystkich osób niewtajemniczonych w nasze tajemnice. Jedynie zgadzasz się na to?

— Zgadzam się na wszystko co chcesz, byle ty nie wiązać napowrót przerwane węzły rodzinne—poważnie odpowiedział Albert i uściskał mi rękę z wdzięcznością.

— Nie przypuszczasz przecie, aby w tém zajściu ja byłam winną?—zapytałam podrażniona.

— Moja matka okazała się zanadto wrażliwą, ale cała wina spada na mnie; zaniedbywałem ją trochę od powrotu mego do kraju, lecz w Szwajcaryi, na emigracyi, żyliśmy tak serdecznie z sobą, że stanowiliśmy niemal jedno serce i umysł... To przywiązanie nasze pomagało znosić jej bez szemrania roz-

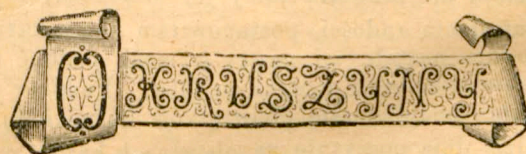
Crispi zdobył się na śmiały krok i rozwiązał wszystkie stowarzyszenia włoskie rewolucyjne, noszące nazwy Oberdanka i Barsantiego. Uczynił to, co prawda, z konieczności, agitacja bowiem irredentystyczna tak się wzmagała z dniem każdym, iż groziła wyrośnięciem mu ponad głowę i zmuszeniem go do porzucenia trójprzymierza. Krok ten sprawił naturalnie jaknajlepsze wrażenie w Wiedniu, ale wywołał wielkie oburzenie w narodzie włoskim, sprzyjającym przeważnie irredencji, którą wszelkimi siłami popierają francuzi.

Irlandyi znów głód zagraża. Kartofle się nie urodziły a raczej psuć się poczynają; po całej wyspie rozchodzi się woń zgnilizny, a że kartofle stanowią wyłączne pożywienie co najmniej dwóch trzecich części ludności irlandzkiej, więc zachodzi obawa żeby nie powtórzyły się czasy między r. 1845 a 1849, w ciągu których z ogólnej cyfry 8 milionów, 3 miliony irlandczyków głodem wymarło. Może jednak rząd przedsięwzięnie jakieś środki zaradcze, tém bardziej, że go już o to przed zamknięciem sesyi parlamentu upominano.

Królowa Natalia zamierza podobno opublikować korespondencyą swoją z królem Milanem, z której szczególne rzeczy mają wyjść na jaw, a mianowicie ma się okazać, że po klęsce poniesionej pod Śliwnicą, król Milan chciał zerwać z Austryą a zbliżyć się do Rosyi, i że go od tego powstrzymała—królowa Natalia... Gdyby nawet tak było, czemu zresztą ciężko uwierzyć, to trudno odgadnąć, jaki cel mogłaby mieć królowa w ogłaszaniu w obecnej chwili podobnej publikacyi.

Tymczasem król Milan dość przyjemnie spędza czas w Serbii, tak dalece, że już jakoś o jego wyjeździe do wód nie słyhać. Rocznicę jego urodzin, podczas której był w Niszu, miasto uroczyście obchodziło. Przystroili się w chorągwie, urządziło na jego cześć pochód z pochodniami i z zapalem oklaskiwało jego mowę. W obozie pod Banicza Boda, gdzie król wybiera się wraz z synem, robią również przygotowania na jego przyjęcie.

Komisya wyznaczona do tego przez sultana wygotowała już projekt reform w Armenii i złożyła go w Ildiz-Kiosku; sultan jednak ociąga się dotąd z nadaniem mu swojej sankcyi. Tymczasem wzmaga się niezadowolenie wśród chrześcijańskiej ludności Armenii. Dobre wrażenie sprawiło na niej skazanie na wygnanie do Medyny Mussa beja, dowódcy kurdów, zacieklego wroga i prześladowcy ormian; cóż kiedy przed wysłaniem go na owo wygnanie Mussa bej uciekł. Ormianie, mimo całej swojej potulności, nie na żarty chwytają za broń, potworzyli pieszę i konne zbrojne oddziały; turcy ze swojej strony ściągają wojska, wzmacniają fortyfikacye. Znosi się na krwawą burzę; ogłoszenie gotowych już reform możeby ją w jednej chwili zażegnało, ale Abdul Hamid, nie wiadomo dlaczego, zwleka swoją decyzją.



790) ODPOWIEDŹ na pytanie: Jakie państwo jest najbogatsze w węgiel?

Stany Zjednoczone Ameryki północnej posiadają olbrzymie pokłady węgla, ciągnące się na przestrzeni 509,000 kilometrów kwadratowych; w samej Pensylwanii w okolicach Pittsburga pokłady węgla zajmują 50,000 kil. kwadr. Obliczając przecięciowo ich grubość na 10 metrów, produkcya Stanów Zjednoczonych wystarczałaby na opędzenie potrzeb całego świata przez 11,000 lat, ilość bowiem węgla konsumowanego rocznie na kuli ziemskiej wynosi 450 milionów ton. W Brytanii, w której dobywają 170 milionów ton rocznie, posiada pokłady węgla zawierające w przybliżeniu 100 miliardów ton, będzie więc miała tego materiału jeszcze na 609 lat. Francya posiada węgla na 250 lat, inne kraje Europy także w niego obfitują, dosyć że licząc tylko pokłady już znane i zbadane, można śmiało powiedzieć, że nasza część ziemi jest w ten cenny materiał opalowy na jakie pięć stuleci.

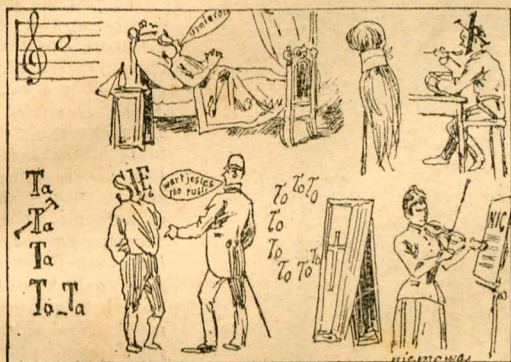
Załoba, którą noszą, jest jeszcze odkryte niedawno bogate pokłady węgla gania mego sumienia, a lat kilkudziesięciu domyślano się ich istnienia, próżności. Umiałam prosić komisya naznaczona została do zbadania kanał elegancya; czarny kole, rozstrzygnęła ją twierdząco. Wtedy zacy i sprawiał, że wydawała, doprowadziły jednak do pomyślnego. O! drogi ojczy, przebacz mi 680 metrów głębokości. Dopiero warunki budowy tunelu podpróżność! Ono w studniach na pokład węg-

gła. Zdaje się jednak, że nie będzie trzeba uciekać się aż do eksploatacji pokładów podmorskich, gdyż zanim istniejące kopalnie się wyczerpią, parę i gaz zastąpi elektryczność, ścieśnione powietrze lub inny jaki motor dotąd nie wynaleziony.

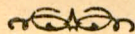
791) PYTANIE: Jakie są u nas chwasty polne?

**Ze skarbeca prawd.** Ludzie którym dobrze czyniłeś będą ci wdzięczni najbardziej wówczas, jeśli o przysługach dla nich zapomnisz

### REBUS.



Rebus z n-ru 35. Charakter, to własność, jest to najszlachetniejszy majątek.



Sławny Talleyrand miał niemniej sławnego kucharza, Carême'a. Raz, kiedy obaj naradzali się nad jadłospisem wielkiego obiadu, dają znać, że przywieziono dwa pyszne łososie. Książę zachwycony ich pięknosciami, oświadcza, że oba muszą być podane; Carême twierdzi, że to będzie wbrew wszelkim zasadom i zwyczajom, ustępuje jednak wobec woli pana. Podczas obiadu lokaj wnosi na srebrnym półmisku olbrzymiego łososia, który wzbudza ogólny zachwyt. Wtem, kiedy ma go podawać, potyka się, upuszcza półmisek i wspaniała ryba rozlatuje się na kawałki.

— Niezgrabiasz! — woła ksiądz z udanym gniewem i, zwracając się do służby, dodaje: — Przynieście drugiego łososia.

I ku ogólnemu zdumieniu gości, za chwilę wnoszą taką samą rybę, równie piękną i wielką i tak samo jak tamta przyprawioną.

Miłość Geldhaba.

Żona. — Jako, mężu, tak mię jeszcze kochasz, że chcesz wydać 500 rs. na ten brylantowy pierścionek dla mnie?

Mąż. — Moja droga, pierścionek nie straci na wartości, choćbyś go do śmierci miała na palcu, a przez ten czas na rękawiczkach dużo zaoszczędzę, bo nie będziesz ich nosić wcale.

Lekarz. — Może pani zechce pokazać mi język.

Pani Papplecka, w dwie minuty później. — Ależ doktorze, zamiast patrzeć na mój język, piszesz sobie najspokojniej. Dopóki będę siedzieć z otwartymi ustami?

Lekarz. — Chwilę jeszcze, proszę pani, dopóki nie skończę pisać recepty; chciałem zebrać myśli.

Zdrajczyni.

Sześćcioletnia Minia zabawia narzeczonego swojej siostry Zosi, która kończy się ubierać.

— Czy twoje włosy kręcą się same? — pyta młodzieniec, głaszcząc kędzierzawą główkę dziecka.

— Nie, Zosia codzieli robi mi papiloty.

— A pannie Zofii kto robi papiloty?

— O! ona oddaje swoje loki pannie służącej, żeby je zawinęła.

### JAK SOBIE RADZIĆ.

**Bielenie wosku.** Chcąc wybielić żółty wosk, trzeba go rozpuścić na ogniu i skoro się stopi, lać wolno na zimną wodę. Skoro skrzepnie, należy go zebrać i wystawić przez kilka dni i nocy na rosę i na słońce, przewracając go codziennie. Stopniowo będzie tracił żółtą barwę i nabierze pięknego białego koloru.

### Rolnictwo, przemysł, giełda.

Warszawa, 3 września 1890 r.

Z zagranicy nadchodzą coraz to pomyślniejsze dla rolników wieści, okazuje się bowiem, że urodzaje w Europie nie są takie, jak do niedawna zapowiadano. Szczególnie we Francji żałują się bardzo na zawód.

Jeszcze gorzej wypadły zbiory w Anglii i Irlandyi, a zwłaszcza w tym ostatnim kraju, gdzie w skutek psucia się kartofli zagraża ludowi głód straszny.

W Ameryce zapasy pszenicy zamiast, jak zwykle o tej porze, zwiększać się, zmniejszyły się, co znów zdawałoby się dowodzić, że zbiory tamże wypadły gorzej niż się spodziewano.

Oto powód zwyczajki cen zboża zagranicą. Najznaczniejszą jest zwyczajka w Anglii, gdzie pszenica zdrożała o 9 pensów na kwarterze.

W całej zresztą Europie zachodniej ceny zboża podniosły się dość poważnie, np. w Berlinie pszenica w ostatnich dniach zdrożała o 6 m., zaś żyto o 2 1/2 m. na tonie.

Natomiast w Gdańsku w skutek bardzo znacznych dowozów ceny obniżyły się cokolwiek. Nie ulega jednak wątpliwości, że zniżka ta jest tylko chwilową.

Obecnie płacą w Gdańsku za pszenicę wyborową ściśle czerwoną 153 m., zaś cena regulacyjna wynosi za pszenicę polską trans. 149 m., za żyto polskie płacą 108 za tonę. Rzepik i rzepak podniosły się w cenie o 8 marek, płacą za rzepak polski 205 do 208 m., za rzepak 210—218 m.

W Odessie płacą za pud: pszenicy sandomierki białej 80—94 kop., za ozimą żółtą 80—94 k., za czerwoną 80—94 k., za bosarabską 78—94 k., za girkę 78—92 kop., za żyto 59—64 kop., za jęczmień 53—55 kop., za rzepak letni rs. 1 k. 15—rs. 1 k. 18, za zimowy rs. 1 k. 23—rs. 1 k. 25, za 5/10 len rs. 1 k. 25—rs. 1 k. 30.

Na targach warszawskich usposobienie poprawia się również, chociaż zwolna.

**Targ Warszawski.** Za korzec: Pszenica rs. 5 k. 80.—Żyto rs. 4 k. — Jęczmień rs. 3 k. 60.—Owies rs. 2 k. 75.

— na stacyi Praga. Za pud: Pszenica rs. 1 k.—Żyto k 70 — Jęczmień k. 76.—Owies k. 74.—Groch rs. 1 k. 10.—Gryka k. 89.

Warszawa, d. 3 września 1890 r. 5/10 Listy Zast. (za rs. 100) 97.70. — Listy Zast. ser. II lit. A. 94.20.—Listy Zast. ser. III lit. A. 94.20.—Listy Zast. M. W. I ser. 99.—Listy Zast. M. W. II ser. 97.75.—Listy Zast. M. W. III ser. 96.25.—Listy likwidacyjne Król. Pol. 91.15 —Marka niem. kop. 40 1/2; zł. r. k. 74; frank k. 32 3/4; półimp. rs. 6 k. 53.



**Mleko skoncentrowane.** (Czytelnicze z Poznania.) Mleko skoncentrowane nigdy nie zastąpi świeżego jako pokarm dawany dzieciom. Nie należy ludzię się tém, że dzieci takim mlekiem żywione nabierają tuszy i napózór dobrze wyglądają; zauważono, że jednocześnie mają nader mało sił żywotnych i łatwiej ulegają chorobom. Fakt ten stwierdziło kilku lekarzy angielskich, których zadziwiło szczególne osłabienie dzieci przez nie leczonych, chociaż choroba nie była wcale ciężką. Przekonano się, że były żywione mlekiem skoncentrowanem. Dzieci lubią je lepiej niż mleko krowie, zapewne z powodu jego słodczy, nigdy jednak pod względem pożywności nie może ono zastąpić naturalnego mleka i, dając dzieciom pozory zdrowia, rzeczywiscie odbiera im siły i szkodliwem jest dla organizmu. To samo można powiedzieć o mące z arrow-root i różnych innych surogatach, zachwalanych przez dzienniki, istotnie zaś nie wartych.

**Zużytkowanie błyskawic.** (P. T. O. st. Mińsk.) Bywały wypadki, że uderzenie piorunu leczyło takie choroby jak reumatyzm lub paraliż, naturalnie jeżeli pacjent nie został zabity na miejscu. Przypisują to silnemu wstrząśnieniu, oraz działaniu elektryczności, w każdym razie jednak powyższa metoda leczenia przedstawia tak ważne niebezpieczeństwa i niedogodności, że mało pacjentów zechce się jej poddać. Próbowano też skorzystać z olbrzymiej siły piorunu do rozszadania skał, ściągając na nie iskrę elektryczną. Zdaje się jednak, że jedyną korzyścią praktyczną jaką można uzyskać z błyskawic, będzie użytkowanie ich światła do zdejmowania fotografii wśród noccy. Długość trwania błyskawicy wynosi 1,300 część sekundy, ale to wystarcza do odbicia obrazu na płycie fotograficznej.

### Post-scriptum.

P. Stefan... O. P. g. Ani Pasteur ani nikt na świecie nie wie zkąd się bierze życie; to tajemnica Stwórcy. Dowodzenia półmędrków tylko obalamącają łatwownych, a ów „pastuszek”, który niby wie zkąd bierze swój początek wszystko, jest zapewne obłąkanym. Rozum ludzki ma swoje granice; tej mety nie wstydzą się ludzie prawdziwie uczeni, dla których wszystko pochyla się w Bogu.—Jest dużo chorób znanych tylko ze swoich szkodliwych skutków, lecz zupełnie pod względem przyczyn zagadkowych; powoli i przyczyny stają się świadomymi lekarzom a przez to i samo leczenie łatwiejszém. Do chorób o których uczeni nie wypowiedzieli jeszcze ostatniego słowa należy wścieklizna, cholera, błonica i bardzo wiele innych.—P. A. Jacuński. Objąsni sz pana w tej kwestyi dzieło Tomasza Święckiego: „Opis starożytności Polski” tomy 2, wydanie K. J. Turowskiego. — P. M. Kossow. w K. Mylnie sz. pana poinformowano, p. Gebetner nie zakłada wiadomej fabryki. Ze tego rodzaju produkcya ma piękną przyszłość, nie wątpimy; potrzeba jednak kapitału sporego i.. cierpliwości zanim nowość ta się rozpowszechni oraz racya bytu uzyska. Za zaufanie i słowa serdeczne—dzięki. — P. T. L. st. Sieradz. Ciało ludzkie po spaleniu pozostawia po sobie około dwóch funtów szarego popiołu, bardzo więc łatwo można pomieścić go w urnie. Jeżeli jednak sz. pan jesteś dobrym katolikiem, to musisz się wyrzec przyjemności (!) być spalonym po śmierci, Kościół bowiem potępia palenie zwłok i odmawia im chrześcijańskiego pogrzebu. — Prenumeratorowi w Starym Zamoku. „Wilkońskiego” są tylko 2 tomy, z przesyłką rs. 2 k. 70. „Ignacego Chodźki” rs. 5. „Fredry syna” 4 tomy rs. 4 k. 50. „Fredry ojca” dzieło 12 tomów, rs. 24. Tomów 5 wybranych komedij rs. 1 k. 60.—Zrozpaczonemu poecie. „Achl! ona popełniła zbrodnię ponad zbrodnię, i mnie nieszczęśliwego zdradziła niegodnie.” A cóż my na to poradzimy? Zamiast do redakcyi, pošlij pan lepiej te wiersze niewiernej kochance, a może więcej ją wzruszą.

### PRACE LITERACKIE.

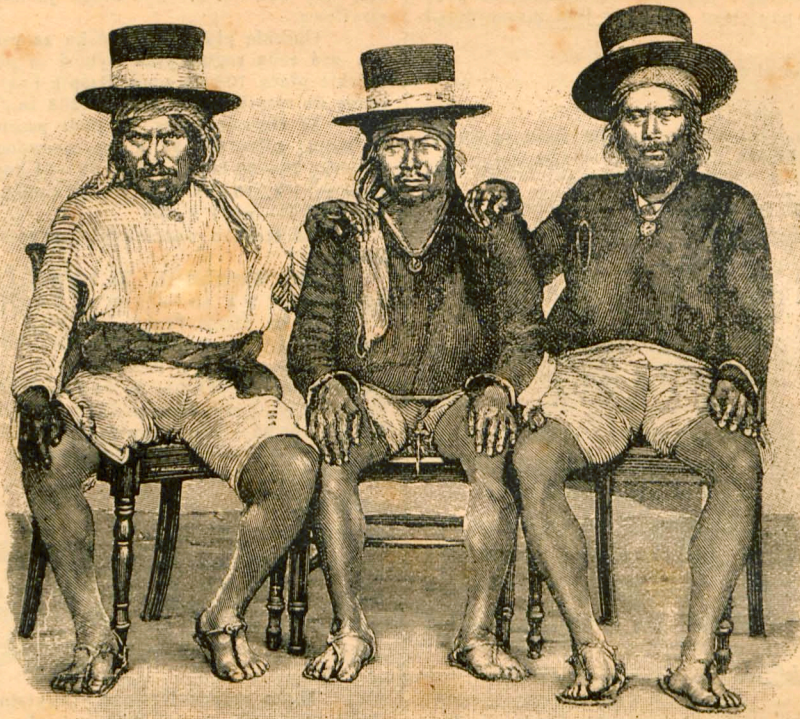
**Ogrody,** czyli opis prowadzenia sadu, ogródka owocowego, ozdobnego, ogrodu warzywnego, inspektów, oraz wskazówki użytkowania owoców. Z licznymi drzeworytami w tekście. Napisał E. Raddo, członek towarzystwa ogrodniczego w Szwajcaryi. Książka ta zawiera spostrzeżenia z praktyk

jąk autor zajmował się zagranicą. Z myślą o przysłużeniu się swemu krajowi, zwracał ogólną uwagę na ogrodnictwo w okolicach zbliżonych do naszego kraju pod względem klimatu i gatunku ziemi. Są okolice zagranicą doświadczające 25-cio stopniowych mrozów, wyposażone w ubogą ziemię a jednak obfitujące w doskonałe owoce i piękne przez swoje ogrody i ogródki starannie uprawne. Autor zachęca matki nasze do zakładania ogródków przy domach swoich i pielęgnowania roślin doniczkowych, jako ozdoby mieszkań i zachęty dla dzieci do poznania cudów przyrody. Utrzymuje on słusznie, że zamilowanie ogrodnictwa wykorzeni wiele złego z obyczajów naszego ludu, który lubi czynić szkody w sadach cudzych; skoro będzie obfitość sadów a więc i owoców, skoro przy każdej chacie będzie rosła wiśnia, grusza, śliwa—łakostwo łatwo się zaspokoi a chodzenie około własnego drzewka nauczy szanować cudze.—Coraz więcej nauka pozbawia się samolubnych celów: zbagacenia się jednostki i użycia, lecz ma zarazem na celu pomysłność ogółu. Pocięszajcie!

**Wiek obłudy**, p. Montegazza, tłumaczył J. Lorentowicz. Nakład T. Paprockiego i Spł.—Jest to wylanie złego humoru na wszystko co nas otacza w domu i poza domem. Uczony włoski rozumowaniu swojemu nadał pewien całokształt procesu dowodowego, lecz tyle niechęci i zwątpienia wszczepił w pióro swoje, że nawet nadzieja, wyrażona ku końcowi dzieła, iż wiek następny odrzuci ludzkość, wygląda jak uśmiech na zlodowiałej twarzy człowieka zmarłego.

**Muzeum**, czasopismo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, zeszyt III zawiera: Odezwy. Sprawozdania. W sprawie uproszczeń i ujednostajnienia pisowni polskiej, p. Bol. Szom. Nauka jeografi w polu, p. d-ra M. Kawczyńskiego. Poglądy naukowe. Rozmaitości pedagogiczne. Konkursa i t. d. Ważnym jest artykuł księdza Aleksieja Torońskiego „W sprawie nauki religii możeszowej w gimnazjach.” Autor, duchowny katolicki, uznaje potrzebę wykładu religii możeszowej dla młodzieży tego wyznania, bo jakkolwiek religia możeszowa nie zawiera tyle pierwiastku umoralniającego ile go posiada chrześcijaństwo, jednak odrzuciwszy bałamutny Talmud a wzięwszy za podstawę wykładu księgi Starego Testamentu, można szerzyć moralność, która będzie łąkneła światła Chrystusowego. Autor utrzymuje, że najszkodliwsi są dla społeczeństwa żydzi talmudyci lub bezwyznaniowcy, więc przeciw nim działać trzeba czystymi zasadami religii, która opiera się na wierze w jednego Boga, posiada dekalog i pisma proroków. Religia możeszowa należy być pojmovana, prowadzi prostą drogą do chrześcijaństwa.—Serdeczne wspomnienie pomieścił ks. A. J. o ś. p. Atanazym Niżwieckim, katechecie seminarium żeńskiego we Lwowie. Czcigodny ten kapłan był ojcem dobrodziejem młodzieży—uczył nauki Bożej, karcieł serdecznym zaklęciem zdroźności, szczerpł swoje dochody poświęcał ubogiej młodzieży, z której wielu zajmuje dzisiaj wybitniejsze stanowiska.

**Wisła**. Tom IV; styczeń, luty, marzec, zawiera: Ludzie i kwiaty nad Niemnem, p. E. Orzeszkową. Podania i legendy, p. B. Grabowskiego. Chłopskie dziecko, p. K. Smoleńcównę. Na falach Bugu, p. Z. Glogera. O przewiskach ludowych, p. J. S. Ziembę. Odrzwia ozdobne w chatach górali ruskich, p. d-ra J. Kopernickiego. Przyniewia żydowskie, p. S. Adalberga. Kobza i skrzypce, p. J. Karłowicza i w. i. Zeszyt ozdobiony



DYGNITARZE „SZCZĘŚLIWÉJ RZECZPOSPOLITÉJ.”

jest rysunkami i piękną ryciną kolorową, przedstawiającą młodą mężatkę ze wsi Ozieryczyna—A hapę Maucznową. Po każdym zeszytcie „Wisły” wrywa się z myśli i serca „Szczęść Bożę” dla gorliwego redaktora i jego towarzyszy, chociaż Wisła to nie powieść ani bajka ale najprostsza powieść o naszym ludzie.

**Książki dla ludu**. Świeżo wyszły z pod prasy cztery książeczki przeznaczone dla ludu. Dwie z nich zawierają przystępnie pisane powiastki *Jurgis Durnialis* i *Na służbę Bożą*, skreślone barwnie, zajmująco, bez ładunku moralów. Dwie inne popularyzują wiedzę w sposób godny zaznaczenia. Książeczka p. t. *Maszyny parowe* i *Koleje żelazne* zaznajamia z najnowszymi wynalazkami naszego wieku, ich pożytkiem i urządzeniem: *Nasi wrogowie* i *pryjaciiele wśród ptaków*, ułożona na podstawie prac K. Wodzickiego i Wł. Taczanowskiego, poucza które okazy z rzeszy skrzydlaté są pożyteczne a które szkodliwe, tén samém daje informacye, które oszczędzać a które tępć należy. Obie książeczki zdobią liczne drzeworyty, są ułożone i napisane wybornie. Ostatnia szczególnie znaleźć się powinna w każdej chacie a bezwarunkowo w każdej bibliotece przy szkółce elementarnej.

**Na dziejowym przełomie**, powieść historyczna z XV wieku, p. Józefa Rogosza. Tomów 2. Nakład T. Paprockiego i Spł.—Znany powieściopisarz nie złożył dowodów swego talentu w téj powieści; zwykle zajmujący, żywy, artystyczny, tu jest rozklekłym kronikarzem, niedbającym o formę ani o treściwość.

**Buchalterya podwójna** (włoska). Wykład popularny dla samouków. Opracował nauczyciel buchalteryi G. Chwat. Zeszyt III.

**Dla dzieci**. Powieści i baśnie, z różnych autorów zebrała R. M. Proza i wiersze. Z obrazkami. Cena kop. 10.

**Kolorowane tablice poglądowe do nauki o rzeczach**. Wydanie A. J. Wiśniakowskiego, pod kierunkiem A. Dygasińskiego. Zeszyt V i VI. Cena zeszytu 40 kop. Wydanie, jak na nasze siły, staranne; rysunki niezłe, lecz kolory zbyt jaskrawe. Dobrze by było, gdyby dziecko obrazkami kształciło zarazem swój smak estetyczny. W ogóle takie podręczniki uważamy za konieczne wówczas, kiedy dziecku nie można pokazać żywej kury, kaczki, prawdziwej chałupy, szafy, miski i t. p. Rzeczywistość najlepiej uczy.

**Zasady Filozofii** Emila Boirac, tłumaczył A. Dygasiński. Nakład T. Paprockiego i Spł. Zeszyt 1 i 2. Wykład jasny, przystępny dla czytelnika, który nie miał sposobności zetknąć się z nauką Filozofii w jej licznych, często ciemnych i zagmatwanych, systemach. Znajomość przynajmniej elementarna zasad Filozofii wypchna ogólnie wykształcenie człowieka; książka niniejsza cel ten ułatwia.

**Rybak** czyli zmartwychwstałi filozofowie, Lucyana z Samosaty. Z oryginału greckiego przełożył Emil Weidel—Nie badamy co skłoniło p. Weidla do wyhrania sobie satyry Lucyana do tłumaczenia, czy ciętość języka, czy śmiałość rzucająca wszystkim prawdę w oczy, czy to, że Rybak jeszcze nie został przyswojonym literaturze polskiej, wystarczy nam do przyjęcia pracy jego z poszanowaniem ta okoliczność, że jest niemal zjawiskiem w epoce ogólnego odwracania się od klasycyzmu. P. Weidel popłynął pod wodę i wybornym przepolnieniem greckiego satyryka dowiódł znowu, że starożytność może być zajmującą jak dzieła społeczne, jeśli wyszła z głowy mądréj i serca nie kamiennego.

*Treść numeru 766 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej:* Z Warszawy.—Wśród kąkolu, powieść przez Walerya Marrené (d. c.).—Sztuczne gniazda.—Listy mojej babki.—Czułe małżeństwo.—Pierwszy wierzchowiec.—„Szczęśliwa rzeczpospolita”.—Raptularz tygodniowy.—Miecz i dyplomacya.—Pogańdanka.—Męczennica pychy, powieść przez V. Monnot’a (d. c.).—Listy polityczne.—Jakie państwo jest najbogatsze w węgiel?—Ze skarbcya prawd.—Humorystyka.—Jak sobie radzić.—Rolnictwo, przemysł, giełda.—Gazetka.—Post-scriptum.—Prace literackie.—Rysunki: Część nadrzeczna miasta Międzyrzecza. (Rysunek W. Brochockiego).—Sztuczne gniazda.—Czułe małżeństwo. (Obraz A. Jaksche).—Pierwszy wierzchowiec. (Obraz L. Scaffai).—Dygnitarze „Szczęśliwej Rzeczypospolitej”.—Rebus.—„Wieczory powieściowe” zawierają powieść historyczną Ernesta Ecksteina: *Neron*, arkusz 8.

**Cena prenumeracyjna Biesiady Literackiej w Warszawie:** rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 k. 50; kwartalnie rs. 1 k. 25. **Na prowincyi i w Cesarstwie:** rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 k. 50. Za tygodniowy dodatek książkowy z powieścią należy się rocznie rs. 1 k. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38, z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monety obca, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Należy na listach i przesyłkach wypisywać cały adres; ograniczając się tylko na jednym wyrazie „Biesiada” bez dodania „literacka”, prenumerator może być narażonym na zwłokę w przesyłce lub załatwieniu swego żądania.

**Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, Chmielna 26.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Августа 1890 г.—Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek.—Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biurow Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego** Chmielna № 26.

*Zebra zbiorów*  
Szczepana Kalinowskiego